

PLUSZCZ

Spółeczeństwo Literackie Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 11 LIPCA 1931 ROKU.

NR. 28.

TREŚĆ NUMERU: Redukcje kobiet zamężnych — *Anna Paradowska-Szelągowska*. Pogłos Maciejowic. Dzieci nie chcą jeść — *Marja Kuncerowiczowa*. Za białą ścianą (szkic powieściowy) — *Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska*. Ostatnie wystawy — *Stefanja Podhorska-Okolów*. O jednej architekcie — *N. J. Z* beletrystyki francuskiej ostatniej doby — *Stanisława Jarocińska-Malinowska*. Ś. p. Dr. Eugenja Lewicka. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Róże i kaktusy — *S. P. O.* Jak i na czym oszczędzać? — *mar-mor*. Miotła — *Zygmunt Przerębski*. Atomy wiedzy ogrodniczej — *A. D.* Spalarnia śmieci — *Pani Elżbieta*. Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”. Arkusz wzorów.

REDUKCJE KOBIET ZAMEŻNYCH

Kryzys gospodarczy i związane z nim bezrobocie spowodowały na całym świecie wielkie niebezpieczeństwa dla pracy kobiet i zagroziły jej poważnymi wstrząśnieniami. Uporczywie zostają wysuwane żądania, by z przeładowanego rynku pracy ustąpiły kobiety, a przede wszystkim kobiety zamężne.

Akcję taką podjęto w Ameryce, w Austrii i w Niemczech, a i u nas, niestety, hasła te znalazły swój wyraz w ostatnio dokonanych, w szeregu biur rządowych i prywatnych, redukcjach kobiet zamężnych, których mężowie zajmują również posady w tychże biurach; redukcje te boleśnie dotknęły ogół kobiecy.

Rzecz prosta i jasna, iż kobiety nie uchylają się od udziału w koniecznych ofiarach i wyrzeczeniach, jakich ogólne położenie kraju naszego od swych obywateli wymaga; jednak muszą przeciwstawić się zdecydowanie takim środkom, które godzą specjalnie w ich prawa z takim trudem zdobyte.

Dzięki wypadkom lat ostatnich, kobiety znalazły się w zupełnie innym, niż dawniej, położeniu. Nie potrzebują one walczyć z tradycyjnymi przesądami co do tego, co kobiecie przystoi; nie potrzebują już walczyć o dopuszczenie do wyższych studjów i do różnych zawodów; natomiast muszą zwalczać przeszkody, które rodzą się na ich drodze z winy niezwykle ciężkich stosunków chwili bieżącej.

Redukcje kobiet zamężnych są oparte na fałszywym mniemaniu, że mają one być zabezpieczone i że zarobki ich idą raczej na zbytki, niż na zaspokojenie niezbędnych potrzeb życiowych.

Jakże nieliczna jednak jest kategoria kobiet szczęśliwych, dla których osobisty zarobek jest tylko miłym dodatkiem do zapewnionych środków utrzymania! Natomiast znaczna większość kobiet zamężnych pracuje z konieczności zapewnienia sobie, dzieciom, często rodzeństwu lub rodzinom utrzymania, ewentualnie wykształcenia.

Niezmiernie trudno ustalić, czy pracująca kobieta zamężna może być podciągnięta pod kategorię podwójnie uposażonych.

Wszak nawet w pozornie poprawnych stadłach małżeńskich zdarza się, iż dwoje ludzi, związanych aktem ślubu, nie ma z sobą już nic wspólnego, że dla dobra dzieci i zachowania im ogniska rodzinnego pozostają pod wspólnym dachem, lecz praca zarobkowa żony jest jedynym źródłem utrzymania jej samej, a nawet i dzieci.

A ileż kobiet utrzymuje swych bezrobotnych mężów, lub nawet i pracujących, którzy tracą jednak zarobek na swoje, nic wspólnego z rodziną nie mające, namiętności czy popędy!?

Są to rany nazbyt bolesne, by je publicznie ujawniać.

Kalkulacja budżetu współczesnej rodziny opiera się przeważnie na zarobkach obojga małżonków; warunki ekonomiczne powojenne sprawiły, iż liczba kobiet, pracujących zarobkowo, poważnie wzrosła. Rodzina nie jest w możności zapewnić dorosłym córkom utrzymania aż do zamążpójścia, a i mąż najczęściej nie może zapewnić go żonie. To też obecna re-

dukcja kobiet godzi nie tylko w samą pracownicę, ale i w całą rodzinę.

W Ameryce zanotowano znaczną liczbę rozwodów, przeprowadzanych w obawie utraty posady, będącej jedynym oparciem kobiety pracującej, a często i jej dzieci.

A kto właściwie będzie w możności zawrzeć związek małżeński, skoro w konsekwencji tego na mężczyznę spadłby wyłącznie cały ciężar utrzymania rodziny? czy obecne uposażenia i zarobki mężczyzn dają podstawę do zaciągnięcia podobnego zobowiązania?

Zatem obecne rugi z posad specjalnie kobiet zamężnych podkopują życie rodzinne i godzą w moralność, skazując kobiety albo na wyrzeczenie się małżeństwa i macierzyństwa, albo też na pominięcie formalności prawnych i wejście na drogę stosunków nielegalnych.

Jedynym probierzem prawa do pracy muszą być tylko odpowiednie kwalifikacje zawodowe i moralne — w żadnym razie płeć pracownika, czy też jego stan cywilny.

Jeśli chodzi obecnie o przeprowadzenie celowych oszczędności, konieczne jest usprawnienie administracji, co da się osiągnąć jedynie przez pozostawienie przy pracy sił najbardziej zdolnych i najbardziej pracowitych, a cechy te nie są wyłącznie przywilejem mężczyzn. Jest bowiem stwierdzone, że kobiety okazały się do pracy urzędniczej bardzo odpowiednie i, jak wiemy, na różnych posterunkach są niezmiernie cenione. Dopuszczenie kobiet do urzędów nastąpiło na skutek ich istotnych w tym kierunku zdolności. Znalazło to swój wyraz w art. 96 Konstytucji z dn. 17 marca 1921 r., który mówi: „wszyscy obywatele są równi wobec prawa, a urzędy publiczne są w równej mierze dla wszystkich dostępne na warunkach, prawem przepisanych“.

Na podstawie tego konstytucyjnie zapewnionego kobietom dostępu do urzędów, twierdzimy, że ostrze konkurencji między mężczyzną a kobietą stępiłoby się poważnie, gdyby jedynym sprawdzianem przy przyjmowaniu, zarówno jak i przy zwalnianiu pracowników, były tylko kwalifikacje zawodowe i moralne.

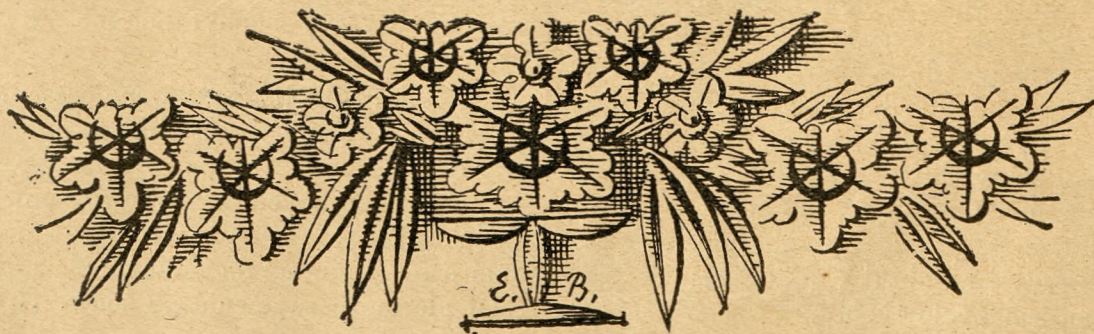
Niestety, pod wpływem bezrobocia zatracą się coraz bardziej ten jedyny właściwy i wskazany probierz, natomiast prawo do pracy zarobkowej przyznaje się raczej temu, kto jej bardziej potrzebuje, jako niezbędnego środka utrzymania swego i swej rodziny. Niebezpieczeństwo to ujawnia się specjalnie przy ocenianiu pracy kobiet.

Nie oddaje się jednak usługi gospodarce narodowej, jeśli siły zdolne zastępuje się mniej zdolnymi, tylko z punktu widzenia ich potrzeb osobistych. A i kobietom czyni się krzywdę, jeśli się nie przyznaje, że praca zarobkowa jest dla nich nie tylko środkiem utrzymania, ale i celem, wyładowaniem przyrodzonych zdolności i umiłowań, wreszcie wykorzystaniem wszelkiego nakładu pracy i kapitału, zużytego na wykształcenie i przygotowanie do pracy zarobkowej.

Przed kobietami, a przede wszystkim przed organizacjami kobiecymi w Polsce, leży teraz niezmiernie poważne zadanie: zastrzegając się przeciw zasadzie, jaką ze szkodą interesów kobiecych przy redukcjach zastosowano, i podejmując u właściwych władz starania, by na przyszłość tego zaniechano — należy natychmiast podjąć żywą akcję złagodzenia skutków przeprowadzonych redukcji. Uznając konieczność wprowadzenia w życie w obecnych ciężkich warunkach jaknajdalej idących oszczędności, należy ułatwić przeprowadzenie możliwej kompresji budżetów szczególnie rodzin, dotkniętych redukcją; należy też rozwinąć akcję w celu ułatwienia znalezienia pracy zarobkowej, względnie wynalezienia i wyzyskania nowych źródeł dochodu.

Nie jest to zadanie łatwe w obecnych, tak niepomierne trudnych warunkach gospodarczych, lecz nie trzeba i nie można poddawać się rozpacz i zwątpieniu. Wypadki, jakie przeżywamy, dotyczą nie tylko nas wyłącznie; precedensy ich znane są w świecie całym i wszędzie przeciwstawia się im organizację samopomocy i niewyczerpaną inwencję ludzką, popartą przeświadczeniem, iż w nowych warunkach życia należy urobić nowe formy bytu i nowe zastosowania.

Anna Paradowska-Szelągowska.



POGŁOS MACIEJOWIC

Z przyjemnością przeczytałem artykuł p. Skwarczyńskiej p. t. „O miejsce na Parnasie dla pani Kossakowskiej“. Nareszcie znalazł się ktoś, kto na p. Kossakowską popatrzył z nowego punktu widzenia. Nie wątpię też, że pomysł wydania zbioru listów pani kasztelanowej zostanie zrealizowany. A że rzecz warta zachodu i trudu, niech świadczy poniższe pismo, posłane „Jasnie Oświeconemu X. J. M. Jabłonowskiemu, Kasztelanowi Krakowskiemu i Dobrodziejowi“.

List w każdym szczególe niepospolity, wręcz zastanawia powagą myśli, tudzież uderza oryginalnością stylu. Pisany w niewiele tygodni po katastrofie maciejowickiej, w przededniu zupełnej zagłady wojsk kościuszkowskich, jest wykładnikiem nastrojów, nurtujących dusze w tym żalobnym momencie naszych dziejów, dźwięcząc struną osobliwszego smętku i przynębienia. Cenny, jako przyczynek do poznania indywidualności piszącej, jest zarazem ważnym dokumentem do dziejów naszych pamiętnego 1794 r.

Emil Kipa.

Lwów, 15.XI 1794.

Pozwól JOWXM Dobrodziej mieć tę śmiałość przez tę literę moją odpowiedzieć sobie względem zapytania się przez Alexandra Potockiego na dniu wczorajszym odemnie o zdrowie JOWXM Dobrodziej, że z przyczyny doniesień nieszczęśliwych dlatego u mnie nie bywasz, że nie chcesz wraz ze mną płakać. Ja, mój Xże, słowami Chrystusa Pana do Piotra mówiącemi wyrażam, nie chodźmy tam, gdzie skaczą, ale tam, gdzie płaczą. Ja, mój Xże, nie płaczę, czuję przykre okoliczności; lecz mając wiek przepędzony (lat 73 kończąca), mam na pamięci jedne z relacji antecessorów JOWXM Dobrodziej, jako i moich drugie okoliczności, za wieku mego już to nieraz Rzplta przez własnych Rodaków swoich była nieszczęśliwą. Wszach JOWXMość wiesz o pradziadu swoim Hetmanie Jabłonowskim, iż nie przy piecu siedział, wiesz o dziadku, że w Kenigsteynie siedział, ja wiem o swoich, iż

Paweł Potocki za kratą w Moskwie siedział, zostawiwszy 7-miu synów na opiece siostry swojej Hanusi Potockiej, która była za Kazanowskim, i ta to, spłodziwszy córkę, wydała za JW. Jabłonowskiego hetmana. Ta córka przyniosła nam zysk złączonej krwi z domem JOWXM Dobrodziej. Wiesz JOWXMé, iż i Dom mój zaszczyt w szczególności z jednej szabli, co w początkach bronila Ojczyzny, blasku nabył, a z czegoż to innego przysłowia nie słyszeliśmy tylko w całej Polsce zwali familie nasze, tak JOWXMci Dobrodzieja jako i moją i innych family, że byli Obrońcami Ojczyzny, nie byli tehórzami; przewidział Bóg, że gaśnie żarliwość, męstwo i odwaga, a nie chciał, aby te zaszczyty i ta sława upadała na Imieniu moim, zesłał nieprzyjaciół, dał niektórym ducha, pokażcie jeżeliście prawdziwi sukcesorowie antecessorów swoich; ta we mnie wiara tłumi żal w nieszczęściu widzieć pocziwych, osobliwie z domu mego; nie wyrażam o tym niech giną z Ojczyzną, bo Bóg dobry, Bóg łaskaw, Bóg nie cierpi niesprawiedliwych zwycięstw, Ten poda rękę Ojczyźnie, Ten ją zachowa w całości, bo że pałace i wioski popalone, to to jest i było okazją, że każdy za Ojczyznę brał swoje dobro. Powiedz mi JOWXMé Dobrodziej, jeżeliś widział nadgrobek jaki, jeżeliś czytał w kronikach pochwałę dla ludzi pocziwych z wystawionych pałaców, ogrodów, memblów, wiem, że nie, ale przypadki nieszczęśliwe, ale upadek życia i zdrowia zawsze wspomniany, złotemi literami na marmurach wypisany, taż sama sława w potomne wieki i na tych sukcesorów spływa, którzy choć nie teraz nie robią i nie brali się do obrony. Ja zaś, w mojej płci będąc, życzeniem i westchnieniem do Boga byłam pomocą, a JOWXM Dobrodzieja zostają zawsze prawdziwą sługą *K. Kossakowska.*

DZIECI NIE CHCĄ JEŚĆ

Dzieci nie chcą jeść. I każde z nich ma swój osobny sposób niejedzenia. Natomiast matki — wszystkie tym samym sposobem — błagają swoje dzieci, by jednak raczyły coś zjeść.

Rzecz dzieje się w pensjonacie w Ciechocinku.

Więc pokolei... Pierwsza z brzegu — Lala. Pięć lat. Wesolutka, z zadartym noskiem... Między pieskami byłaby foksiezką. To, co uprawia przy stole — to chyba włoski strejk (mimo Mussoliniego, ciągle wyobrażam sobie jeszcze włochów na wesoło). Otóż Lala bardzo pogodnie zasiada na zbyt niskim krześle. Z przykładową starannością wiąże sobie na szyi pieluszkę, zahaftowaną w pół kilo wisien. Niebawem z tacy, jak z gniazda, zaczynają na stół sfruwać poprzez ra-

miona gości talerze z zupą. Pokojówki kierują tym wyrajem według głosu serca, a częściej — rozsądku. Lala promienna przyjmuje swój talerz. Wzbudza to szalone nadzieje matki:

— Laleczka nie zostawi dziś ani kropli. Twoja ulubiona zupka!

Laleczka pozwala marzyć. Nawet ujmuje łyżkę właściwą ręką... Matka obstawia pannę co ucieszniejszemi sprętami:

— Patrz, jaki śliczny grzybek! A w środku sól... On także będzie patrzył, jak ty grzecznie zajadasz.

Lala się cieszy. Mama odwraca oczy ku blondynowi i ku własnej porcji.

Po chwili:

— Lalusiu, ty jeszcze nie zaczęłaś!
Lala ziejie radością.

— Lalusiu, bo grzybek się zagniewa i nigdy nie da ci soli.

Lalusia kładzie łyżkę, bierze grzybek i skutecznie potrząsa nim nad obrusem:

— A o, nie gniewa się — daje sól...

Następne dziecko — Stasio. Brutalny. Jego strejk może jest... szkocki (bo i krawat szkocki). Lat 7. Matka — Tycjan.

— Stasiuniu, co Tatuś mówił? Pamiętaj, że Tatuś biedny: męczy się w Warszawie... a wszystko, żebyś ty miał świeże powietrze i pyszne kotleciki... Więc co ja mam dziś Tatusiowi napisać?

Talerz Stasia z łoskotem wyjeżdża na środek stołu. Syn mrukliwie zaleca:

— Napisz, żeby on lepiej męczył się na rower...

Numer trzeci: Wandeczka. Dwa i pół lat. Rozkosznia. Anarchistka. Jest za mała, by siedzieć; stoi na krześle, co umożliwia leżenie na stole. Zatem leży. Ojciec — właśnie blondyn — rozkazuje. Zato mama, oczywiście, błaga. Obie namowy pozostają bez skutku. Wandeczka z przyzwoitej odległości wrzuca pasztecik do barszczu i przegina się dionizyjsko. Poczem, wśród odmetu cudzych kłopotów, tańczy na krześle, wyrzucając w górę ramiona. Udaje się czasami zczarować ją oraz wyludzić u pokojowej nowy pasztecik. Nagle odmieniona, Wandeczka otwiera szeroko usta... Wtenczas z pietyzmem zostaje tam wsunięty jakiś królewski kęs. Bachantka przymyka oczy... Sekunda. I oto tenże kęs, zlekka obśliniony, znajduje się w jarynce księżego vis-à-vis.

Zosieńka. Numer 4-ty. Wybredna. Woli banany... Wytwornie operuje widelcem, sama nabiera z półmiska, nie zapomina o serwetce. Ale tylko próbuje. Spróbowawszy, zaraz odkłada widelec i drobnymi łyżkami popija wodę. Jej stołowa matka jest w samej rzeczy babką... Więc tembardziej uprasza.

I wreszcie Józio. Dziesięcioletni... Dobrotliwy pasza. Owszem, ten zrzadka coś przelyka. Ale za pieniądze. Za grube pieniądze.

— Józiku, zjedz sznyce! dostaniesz na lody.
Łaskawca wydyma usta.

— Na lody? na *jakie* lody? Może takie od nosiciela? po dwudziestce? Świństw wogóle nie jadam.

Co kilka dni tranzakcja, po dłuższej rozmowie, dochodzi do skutku. Ale Józio nie jest uczciwym kontrahentem: połowę sznycla wrzuca pod stół.

Cały pensjonat mówi o tem, że dzieci nie chcą jeść. Gospodyni — sumienna osoba — w czasie posiłków kręci się koło stołu, łamiąc własne palce. „Możeby ocukrzyć? Możeby osolić?“. Co chwila zapada w rozpacz i w kuchnię — wynosi stamtąd potrawy,

jak marzenie. Opite masłem kalafjory, rubinowe borówki, omlety słonecznego koloru... „Może to? Może choć to dla dzidziusia?“

Wszyscy biorą udział w nieszczęściu matek. Wstydzą, kuszą, schlebiają. Opowiadają bajki... Jeden pan udaje zwierzęta głosem, a rękami ustawia wieżę ze szklanych podstawek. Nikt nie bierze za złe krowiego ryku, ani tłuczonego szkła: mój Boże! wszak dzieci powinnyby jeść!

Wychodzę z hali jadalnej oszołomiona. JAKTO? Więc stanowczo nie chcą? Piętrzą się przed niemi sterty witamin, białek, węglowodanów w najczarowniejszych sosach, w najsmaczniejszych bajkach — i nie? Ależ to nie jest zawilość dla pedjatri! To chyba jest kryzys Człowieka?

Bo, jeżeli dzieci w barakach mają apetyt, ale nie mają jedzenia, zaś dzieci w pensjonatach mają jedzenie, lecz brak im apetytu — z jakich pożywek urośnie obywatel przyszłości? Z głodu i z ferrophytyny?...

Głód jest chorobą społeczną. O głodzie pisze się w gazetach, w proletarjackiej poezji i w stenogramach sejmowych. Głód przekazano „do dalszego urzędowania“ ministrom, rewolucjom, Lidze Narodów. Głód nie jest zaraźliwy i leczy się łatwo chlebem. Głód jest chorobą zdrowych.

Inaczej z niejedzeniem! To — „drobna troska rodzinna“. To prywatny kaprysyk. O tem mówią matki, niańki i lekarze domowi z konfidencjonalnym uśmiechem.

A tymczasem po całym świecie puchnie, rozlewa się fala krętyństwa!

Przy lakierowanych, niebieskich i czerwonych stołach, nad wesolutką porcelaną w antylopki, zasiada coraz więcej dzieci, które nie chcą jeść. Prawnikowie smakoszy, artretycy w dwunastym pokoleniu — żując kwadransami sznycelki, biszkopciki i banany — odpływają, nieszczęśliwi, na swoich modernistycznych krzeselkach w dziedzinę zwyrodnienia.

Bacność! Zwyrodnienie jest strefą atrakcyjną... Nikt nie zarazi się głodem; natomiast tysiące sności chętnie zarażają się niejedzeniem. Pełnokrwiste *babies* — wbrew sobie — marszczą nosy na jadło i w oczach chorzeją.

I żaden urząd, żadna Liga nie zajmie się tą schyłkową chorobą?

Czyż niema dla tych małych istot — tak dwoipnych, wdzięcznych, opracowanych przez wieki, jak precyzyjny instrument — innej przyszłości, niż zagłada?

A dla smarkatych snobów innego leku, niż nęda?

Czyż doprawdy nie można im wszystkim przywrócić łaknienia? (d. c. n.) Marja Kuncemiczowa.



ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

(szkic powieściowy)

5)

— Ty jesteś mała, smutna dziewczynka — mówi poważnie Jola — nie znasz mężczyzny. A tobie potrzebna miłość, żebyś czuła życie. Jesteś, jak pierwiosnek, który zawczasie rozkwitł... dookoła śniegi...

Ona zawsze te porównania. O Zosi też: to jest kwiat, który pachnie dlatego, że jest kwiatem. Tylko to. I to jest prawda.

Rena zagląda w lusterko „węzowej“ torebki. Nagle nie poznaje swoich różowych, wymownych warg. Szybko porozumiewa się z własnymi oczami: zanadto świecą, trzeba przykryć rzęsami.

Obok, w sali przelewa się znów leniwy płomień bluesa.

Dobrze, zatańczy.

(Piaszczyste, chłonne dno morza... Ale niema co zbierać. Same białe korale. Kilka szepionych ramion-polipów. Maleńkie macki zmysłów. Niema czerwonego korala...).

— Co? Nie, nie lubię ekonomji społecznej...

(Czyż on nie ma ciekawszych tematów? Sztubak!).

— Wybrałam W. S. H. bez wyraźnego powodu...

Gdy z pleców odpada sztywna, lękliwa dłoń, puszystym szarym aksamitem zakrywają się źrenice dziewczęcych oczu.

Trzeba pozbyć się szybko mdłej obecności Stefana.

I znów tkliwa Jola, głaszcząca pierota z jedwabiu:

— On ciebie szczerze lubi, Stefek.

— On?! (wielkie, nudne chłopaczysko w binoklach. „Mól“).

— Nie śmiej się. Ja wiem, że ty nie dla niego. Jesteś śliczna, Reno...

— Eh...

— Nazywa cię prawą, idealną kobietą...

— Aż? (trzeba mówić niedbale, lekko, ale przyjemnie jest wganiać w uszy te słowa przymilne).

— On już nie mieszka u nas. Nie może pogodzić się z Niną. Wynajął kawalerkę. Ma bzika z tą samodzielnością. Przecież papcioby mu nie skąpił...

Z tą niezależnością to racja. Rena wzdycha. Ona też ma dość (dom staje się nie do zniesienia, rozszarpany *tamtem*, z wakacyj). Spowaźniała, muśnięta skrzydłem wspomnień (małych, ostrych żwirków zła nie można zmieść z gościńca).

— ...gdy zobaczysz w drodze oczy, w których będzie twoja własna dusza, oddasz się tylko temu kochaniu... oczy smutne, uświęcone tęsknotą...

Rena drgnęła: („cherubin“?). Szybko przegoniła marzenia Joli:

— Egzaltacja!

— Ty tak nie mów. To słowo starszych. Tych,

co modlą się codziennie: amen. Kiedyś przeczytałam: „...jest we mnie wszystek smutek smutnych...“ to było piękne. To jest w nim...

Weszła Wanda. Nadepnęła na ostatni szept przyjacielskich zwierzeń:

— No, czemu nie tańczycie?

Ach, ta Wanda! Zbrzydła Renie do ostateczności razem ze swoim okropnym prosektorjum, razem z brudną sukienką i czerwonymi rękami. Te małe, mocne dłonie z krótko obciętemi paznogciami — dłonie, które może przed godziną grzebały się w martwych komórkach ludzkiego ciała! Brr!... o tamtej jedynej wizycie („trzeba znać wszystko“) nie można myśleć: lachmany ciała, potworne preparaty, odór duszący gardło; a wśród tego Wanda uśmiechnięta, spokojna, zadowolona z ostatniej sekcji, zajada z apetytem drugie śniadanie... Rena uciekła zmaltretowana, zmiażdżona dławiającą grozą.

I teraz nie może patrzeć na mądre, czerwone dłonie medycy. (Jeszcze przy niej pachnie „tamto“). Wiadomo: zaraz zacznie głosić swoje gryzące prawdy: o pracy pielęgniarek, o nadliczbie narodzin, o artykułach Boy'a, o powołaniu społecznem kobiet...

Te wszystkie nudne, racjonalne wywody wyciągnie z zatłuszczonej torebki, razem z wielką chustką do nosa...

Nieprzyjemnie, gdy ktoś do intymnego zakątka małych smuteczków i marzeń wniesie nagle ze sobą mroźny oddech szerokiej ulicy.

Dobrze, że muzyka zamiera. Wszyscy teraz: kolorowe motyle — panny, ciemne ważki — tancerze wtrzepują się do „komnaty Maharadży“. Mówią wszyscy naraz rzeczy nieważne, milkną jednocześnie. Panny trzepoczą, jak frygi, układają się z leniwym wdziękiem po tapczanach. Gdzieś tam rozbłyśnie czerwony grymas pożądania, to znów zęby wyrzucą z za młodych ust srebrny śmiech beztroski.

Można (skrzyżowawszy wdzięcznie nogi) patrzeć na ten wspólny uśmiech, mówić byle co i myśleć: usta są najciekawsze. Namietne u Marka; rozchylone do pocałunku u Lolki; blade i spokojne u Joli; mocne i wzgardliwe u Stefana. Jedne mówią — gadając, drugie — śmiechem, a inne najwięcej mówią — milcząc.

To znowu: dłoniom Joli brakuje skrzypiec. Wanda ma oczy „egipskie“. Piersi Lolki wyrrywają się z pod sukni. Czyński marzy o kolacji. Marek gorszy anegdotkami Wandę.

I nagła świadomość: nie można kochać tego ładnego brata (bo: „zupełnie podobny“... — dalekie, smutne słowa). Nie można także kochać Stefana. Siadł w kącie. Obkłada spojrzeniami własne pantofle; marzy o końcu tej zabawy. Teraz znów z zapalem obga-

duże z panem Olkiem bliskie colloquium. Taki „młodzian w binoklach“, rozpalony do białości wiedzą... U niego kobieta mieszka na samym skrawku świadomości, staje się fikcją. Potrafi mówić do wyschnięcia warg na temat doświadczeń profesora Binn'iego, ale nie zatrzyma ani chwili spojrzenia na płochliwej rzęsie dziewięcych oczu.

Lolka przegina się wyzywająco, woła:

— Niedługo potrafię do samej ziemi!

Kiedy wykonywa swój „łuk“ — zostają z niej tylko dwa mocne stożki piersi.

— Brawo, Lolka! — zadrżały łakomie wargi mężczyzny. — Brawo, Lolka! — (Marek). Znali się nie od dziś. Umieeli śmiać się jednocześnie, bez zatargu, od wnętrza.

Widzi Rena: biała, leniwa ręka z sygnetem na małym palcu przygniotła do sukna munduru mięciutki płatek dłoni.

— Brawo, Loluśka!...

(Gdzie się słyszało ten szept? Taki różowy, gorący?: „Ela... Eluśka...“).

Czerwona plama upadła na policzek. Rena strząsa czemprędzej ten płomyk wstydu. (Potrzebna teraz biała dobroć przyjaźni na najsmutniejsze wspomnienia). Przysiada do Joli. Zaraz przelewa się przez niespokojne serce strumień gotowych, czekających słów: że Nina lubi podróże. One już takie obydwie, Nina i jej siostra Hela, ta ze wsi. Że Stefan nie może darować mateczce zabaw. Ale Jola się nie dziwi: przecież Nina jest śliczna, młoda. A zresztą nikomu nie trzeba zabierać szczęścia. Czasem Joli smutno, że ojciec tak pracuje: codziennie więcej pacjentów... Ale teraz już o takich rzeczach się nie myśli. Teraz pokryło się wszystko jednym spojrzeniem: chorego chłopca ze Szwajcarii...

Odpadają z serca małe osty. Myśl znowu błąka się koło cudzych, błękitnych tęsknot i koło własnych, nienazwanych, dalekich.

Już nikt nie tańczy. Późno. Każdy siedzi byle jak. Czuje się blisko: jutro nanowo robota, obowiązki, krok za krokiem w życie. Stłukła się już szklana bańka wesołości. W kolorowych szczątkach przegląda się tęcza rozmarzeń, żalów, nieporadnych chęci, paciorkowych wysiłków jutra...

Chłopcy silą się na „chór Dana“. Lolka chichocze cichutko, wparta sprężystem udem w ruchliwy, krwawy lampas szaserów.

Olkowie siedli przy sobie. Patrzą, słuchają z pobłażliwym uśmiechem. Myślą: jak będzie się nazywał nowy człowiek?...

Jola rozłożyła ramiona w najrozkoszniejszym smutku tęsknoty: Niema tutaj tego, który nie przyjdzie...

A Rena: Niema tutaj tego, który musi przyjść.

4.

Wszystko zagubiło się w śniegu.

Biały wstawał dzień, ustrojony w bezimienną radość i dziecinny uśmiech życia. Byleby tylko spojrzeć od rana w okno: słońce! — odrazu ręce wpadają w gorączkowy pośpiech narzucania swetrów, odrazu nogi rwą się do ruchu. Codziennie mocniejsze, codziennie śmielsze stopy, stopione z mieczami nart, wyrzynają w białym puchu szafirowe koleiny śladów. W oczach nie można pomieścić blasków, w piersi — zachwyty. Cytrynowe, wonne powietrze łyka się litrami, zachłannie. Postrzępiony łańcuch ocukrzonych gór odgrodził „dziś“ od „wczoraj“. Dnie wysuwają się z pod palców, jak przezroczyste ziarna różańca. Od słońca złote i błękitne, od myśli — różowe, i znowu białe, białe...

Prężą się mięśnie ciała, krzepnie dusza na kryształ.

*

Na tarasie, uczeponym między śnieg, a seledynowy baldachim nieba, leży cały dzień Jola. I to jest jedyny szary cień — ta jej choroba. Przyplątał się kaszel, gorączka. Po pierwszym balu. Teraz jasne, przejrzyste oczy patrzą na góry z kamiennym spokojem. Usta bledsze, niż zawsze, dłonie jeszcze bardziej wiotkie, bezwolne.

Rena razem ze Stefanem (przyjacielska trójka na urlopie) okrywają pledami chorą siostrę, otulają troskliwością. Ta troskliwość nie zawsze się udaje. Bo gdy się jest tak mocno skutym z ruchem, słońcem zdrowiem — nie można czasem zrozumieć nostalgicznych skarg. I wtedy czułość przeradza się tylko w formę, w drobniotki, usługne uśmieški, a gubi treść: współczucie.

*

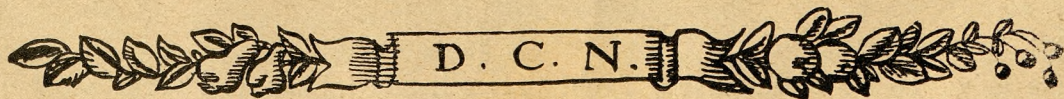
Policzki szczypią, wychłostane brutalną pieszczołą wiatru, dłonie jeszcze drżą od wysiłku, gdy poprawiają poduszki przyjaciółce.

— Dziękuję, Renuś. Ty taka dobra, że jesteś ze mną...

Ach, ta ckliwa, anielska wyrozumiałość nieprzewidzianie łaskocze po skroniach. Gołębia cichość i półmartwa cierpliwość złożonego w bezruch ciała. Bez wiedzy narzuca się na nią siatkę własnych, nieważnych przeżyć białego dnia: że droga do Kościeliskiej śliczna, że jutro będzie śnieg — mówił gazda. Stefan poszedł do biblioteki po Maeterlinck'a; Rena robi postępy w zjazdach; dziś przyjeżdża koncert z Krakowa...

A potem, połknawszy resztę smaku południowych godzin, usta zamykają się w różę i aż do pierwszych czerwonych pasm zachodu trzeba słuchać (trzeba) tych skarg ptaka o złamanym skrzydłach.

Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska.



OSTATNIE WYSTAWY

Czerwiec — to okres największej ekspansji wystawowej przed letnią martwotą, kiedy wystawy stołeczne oglądają tylko przybysze z prowincji, a artystyczne ptactwo rozlatuje się po lasach, górach i wybrzeżach na wakacje w plein'air'ze.

Zachęta urządziła wielką wystawę „Wojciech Gerson i jego uczniowie” celem upamiętnienia stulecia urodzin mistrza, przez którego pracownię przeszli niemal wszyscy najwybitniejsi malarze drugiej połowy w. XIX-go i początku XX-go.

„Zabójstwo Przemysława”, obraz historyczny o dużej sile wyrazu i romantycznym ujęciu, i „Spoczynek” — jeden z najpiękniejszych aktów kobiecych, malowanych w plein'air'ze — oto dwa pierwszorzędne dzieła, w których Gerson mieści się niemal bez reszty. Te sto kilkadziesiąt prac, jakie nam pokazano na obecnej wystawie, raczej pomniejszają artystyczną sylwetkę Gersona. Są to po największej części duże kompozycje historyczne, traktowane po akademicku, malarstwo przeszłości nietylko co do tematu, ale i pod względem formalnego jego traktowania.

Odeszliśmy już dziś daleko od tego sposobu ilustrowania dziejów, jakiemu z całym przekonaniem holdował Gerson. Jest rzeczą niesłychanie ciekawą, że nie to, do czego artysta dążył świadomie — mianowicie kompozycja malarska — ale to, co było wynikiem jego podświadomego, bezpośredniego, instynktownego stosunku do sztuki: wycucie przestrzeni powietrznej, zarówno w krajobrazie, jak i w kompozycjach figuralnych — świadczy dziś o jego wielkości i czyni zeń, pomimo wszystko, malarza nowoczesnego.



Wojciech Gerson: „Babcia idzie”.



Wojciech Gerson: „Portret w stroju staropolskim”.

U Gersona wszystkie przedmioty i postacie są skąpane w atmosferze. W „Łokietku na skałach Ojcową” Gerson maluje nietylko powietrze, ale maluje wiatr. Gerson — to rasowy impresjonista „sans le savoir”, bo impresjonizm, jako nazwa, jeszcze był wówczas nieznaną.

Jego rzetelny, zdrowy stosunek do rzeczywistości ujawnia się przede wszystkim w szkicach i studjach, których zamiar kompozycyjno-literacki nie zdążył jeszcze zdefiniować. W tych pierwszych, na gorącym uczynku chwytanych wrażeniach zdradza się kochanek natury, śledzący ją niestrudzenie, portretujący zaciekle. Gerson był człowiekiem wyjątkowej pracy, artystą niesłychanie płodnym, co nie zawsze miało dodatni wpływ na artystyczną wartość i dojrzałość jego obrazów. Wielka łatwość w rysunkowym utrwalaniu rzeczy widzianych popchnęła go w kierunku notowania typów, ubiorów, zabytków architektonicznych. Tak powstały: „Ubiory ludu polskiego”, „Wzory sztuki średniowiecznej w Polsce” i t. d. Skarbnica cennych materiałów.

Oddzielną, świetną kartę w jego dorobku artystycznym stanowi jego działalność pedagogiczna. Po tej drodze Gerson szedł śladami boskiego Leonarda da Vinci, którego rozprawę o malarstwie przełożył na język polski. Nie krępował indywidualności uczniów, nie narzucał im takiego, lub innego sposobu malowania — uczył być sobą.



Sztuch Reynoldsa: „Klusownik“ według obrazu G. Morlanda.

Dlatego można mówić o *uczniach* Gersona, ale nie można mówić o jego *szkole*. Szkoły takiej nie było. Uczniowie Gersona — to niemal cała historia polskiego malarstwa przedwojennego. Realiści, jak Lentz, Ejmond, Ryszkiewicz, Wierusz-Kowalski, A. Bilińska, Popowski, Rapacki, Weyssenhof, Ziomek, Lasocki — poszli śladami mistrza. Najpotężniejszy z nich, Chelmoński, wzniósł się do wyżyn malarskiego natchnienia i kultury artystycznej na miarę wszechświatową.

Drogą impresjonizmu poszli ówczesni „rewolucjoniści“: Władysław Podkowiński i Józef Pankiewicz, oraz samotny czarodziej barw i światłocienia Wyczółkowski. Wszyscy oni, wedle skali swych możliwości, wcielali ideę mistrza: byli sobą w sztuce.

W odrębny świat przenosi nas kolekcja sztychów, wystawiona obecnie w salonach Instytutu Propagandy Sztuki u Baryczków. Jest to część zbioru rycin, spoczywającego dotychczas w tekach Biblioteki Polskiej w Paryżu, a pochodzącego z darów emigracji powstaniowej.

Dzisiaj, gdy jesteśmy świadkami renesansu grafiki, gdy oryginalny drzeworyt, litografia lub akwaforta staje się niemal nieodłącznym atrybutem kulturalnego wnętrza, wystawa sztychów jest w równym stopniu ciekawa dla artysty, jak dla laika. Artystę zainteresuje przede wszystkim strona techniczna i kompozycyjna sztychu, droga, jaką ten rodzaj sztuki przeszedł od XV-go do XIX-ego wieku. Zestawienie oryginałów z kopjami, nieraz zmieniającymi zupełnie charakter pierwowzoru, wykazuje przepaść, jaka dzieli twórcę od kopisty, artystę od rzemieślnika. Dodajmy, że w owych czasach rzemiosło osiągało często — częściej, niż dzisiaj — wyżyny sztuki.

Laik z tych czarno-białych kart będzie odczytywał tajemny szyfr epok. Uderzy go surowy patos i naiwna koncepcja scen biblijnych u Dürera i Schöngauera (szkoła niemiecka). Wyobraźnia mistrzów

ówczesnych uzmysławia życie Chrystusa i świętych w środowisku sobie znanem i bliskim, na tle krajobrazu środkowo-europejskiego i architektury staroniemieckiej. Jeżeli nawet w „Ucieczce do Egiptu“ zjawia się palma, to będzie ona troskliwie ogrodzona (na pustyni) płotkiem z żerdzi. Lew, obłaskawiony przez pustelnika z pierwszych wieków chrześcijaństwa, spoczywa u stóp świętego męża w średniowiecznej komnacie o wielkiem oknie z okrągłych szybek, w ołów oprawnych. Te nieświadome anachronizmy mają czar niedościgły, czar dzieciństwa, które przez zbliżenie się do świętości nie pomniejsza jej, tylko ją ucłowiecza. Napróżno starali się go wydobyć współcześni, prymitywizujący artyści. Trzeba być naprawdę ubogim w duchu, aby zdobyć takie skarby prostoty i bezpośredniości.

Już nie święci, tylko ludzie zwyczajni, ludzie prawdziwi, ludzie nam bliscy, ludzie naładowani dynamitem napiętności patrzą na nas ze sztychów Rembrandta. Kupcy, bankierzy, rycerze, mędrcy, awanturnicy — oblicza zamysłone, skupione, to znów tryskające energją, chytrą, męstwem, żądzą władzy. Każda twarz — to historia człowieka, to jego przeszłość i przyszłość, wypisana genialnymi kreskami i plamami światłocienia; to przekrój dramatu, chwyczonego na gorącym uczynku w momencie najwyższego napięcia, to zenit ekspresji.

A wreszcie świat konwencjonalny: dusza ściśnięta w gorset, zamknięta w salonie. Sztychy angielskie. Wymuskane twarzyczki, zaokrąglone ruchy.



Czermański: Karykatura obrazu Velasquez'a: „Portret młodej damy“.

miękkie linje postaci. Dosyt i zadowolenie mieszczaństwa. Grupy ułożone ze sztuczną teatralnością. Nawet praca jest tu rozkoszną zabawą towarzyską. Nawet śmierć i rozstanie jest tylko pretekstem do malowniczej pozy. Jesteśmy na pograniczu sentymentalizmu i romantyczności. Artysta rezygnuje z prawdy na rzecz konwencjonalnego wdzięku i sielankowej czułości.

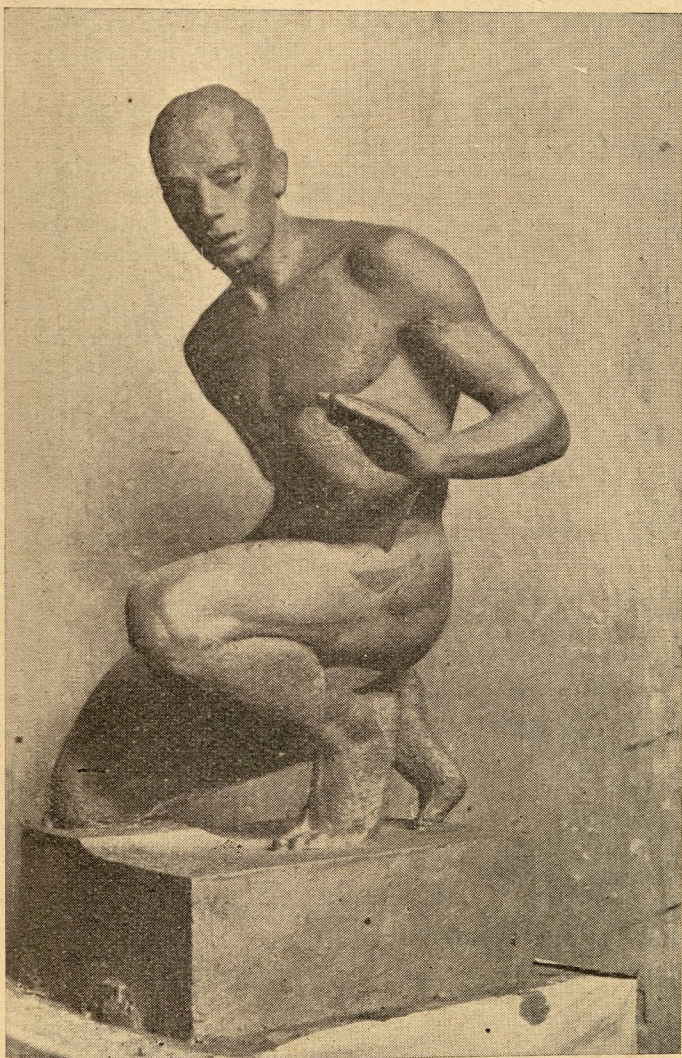
W Salonie Garlińskiego szaleje Czermański. Ten świetny karykaturzysta z jednaka pasją zrywa maski z ludzi, z miast i z obrazów. Jego karykatury polityczne — to migawki, chwytające za włosy moment śmieszności, tak bliski momentowi patosu.

Jego karykatury obrazów — to zdarcie maski z maniery, na którą chorują nawet wielcy mistrze, to niejako błazeńska ich korektura. Wreszcie, karykatury miast — to ich prawdziwa dusza, odarta z szychu, z reklamy, ze snobizmu. Jego prawda o Paryżu — to nie wielkie bulwary i Pola Elizejskie: to wąskie uliczki, zastawione pod niebo pudełeczkami małych hotelików; to szyneczki narożne, gdzie za firaneczkami w czerwonej lub niebieskiej kratkę pije się na cynkowej ladzie kawę i wino; to „madame la concierge“ w czarnej włóczkowej pelerynce z nieodłącznym kotem — Baba Jaga tych domków na kurzych nóżkach; to szewc-łatacz, skulony nad warsztatem nie wiele większym od klatki śpiewającego nad nim kanarka.

W dwóch swoich szkicach londyńskich Czermań-



Sztuch Piotra Drevet młodszego: „Ludwik XIV“ według obrazu H. Rigaud.



Stanisław Komaszewski: „Sportowiec“ — rzeźba nagrodzona na wystawie Szkoły Sztuk Pięknych.

ski dał wóz z węglem i policjantów we mgle. Węgiel i mgła — czy to nie dosyć? czy w tem nie zamyka się cała prawda o Londynie?

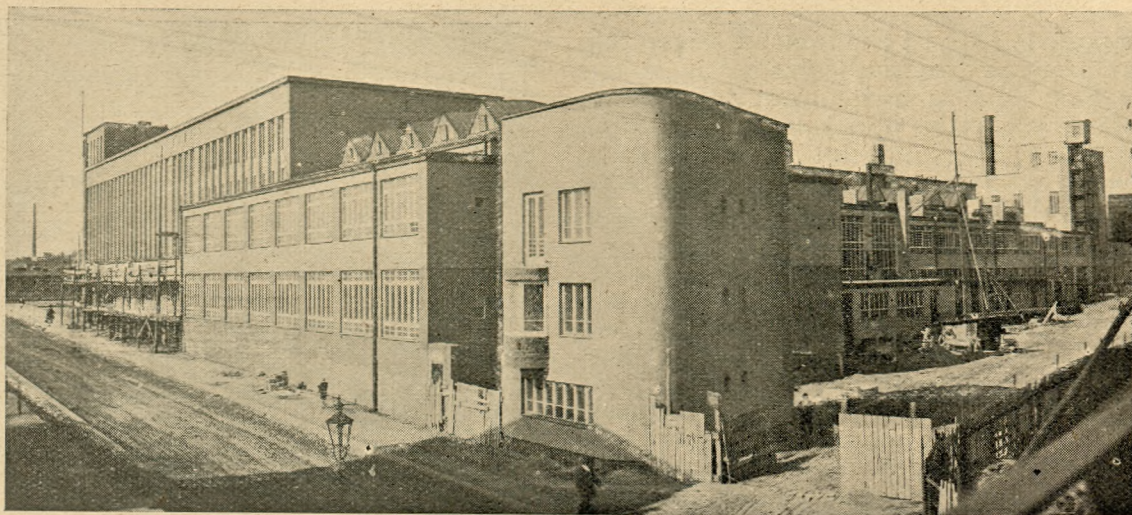
A teraz zajrzyjmy tam, gdzie wykuwa się przyszłość naszej sztuki: na Wybrzeże Kościuszkowskie. Doroczna wystawa Szkoły Sztuk Pięknych otworzyła tym razem ciekawe i niepokojące perspektywy. Dział malarski sprawia wrażenie pracowni eksperymentalnej, w której uczeń szuka siebie nie poprzez swój własny stosunek do rzeczywistości, ale poprzez już istniejące dzieła malarskie. Jest to droga niebezpieczna, tembardziej, jeśli chodzi o kierunki awangardowe, które więcej od innych wymagają okrzepnięcia i usamodzielnienia indywidualności twórczej. Inaczej prowadzą do nieuleczalnej deformacji i maniery. Malarstwo stalugowe wogóle przeżywa obecnie kryzys, teren szkoły jest jego odbiciem aż nadto wyraźnym.

Tę krzepkość, tężyznę, pewność swych zamierzeń, której nie widzimy w malarstwie, odnaleźć można w dziale rzeźby, w grafice, w ceramice, w tkaninach. Wygląda to tak, jakby młodzieży nowoczesnej lepiej odpowiadała konkretna praca w materiale, zamiast coraz bardziej abstrakcyjnego malarstwa. W dziale rzeźb spotykamy echa konkursu na rzeźbę sportową. Kilkakrotnie powtórzona postać przyklekającego zapaśnika ma wiele nowoczesnego wyrazu w klasycznie odtworzonych mięśniach. Drewniane karykaturki Siemaszki — to małe arcydzieła filigranowej groteski.

Dekoracje teatralne Lorentowiczówny do „Ulicy“, „Carmen“ i „Peleasa i Melisandy“ Maeterlincka wnoszą pierwiastek kobiecej intuicji w harmonizowaniu koncepcji plastycznej z duszą utworu literackiego.

Koroną wystawy są precudowne tkaniny, o barwach kojących, przyćmionych, a jednak żywych. Rozkosz wnętrza, odpoczynek oczu.

Stefanja Podhorska-Okolów.



Gmach szkoły w Katowicach.

O JEDNEJ ARCHITEKTCE

W dużej liczbie różnorodnych fachów, które, z chwilą uzyskania równouprawnienia, zaczęły gorliwie uprawiać kobiety, jeden jest jednocześnie wdzięczny i praktyczny: architektura.

Budować domy, szkoły, projektować osiedla, ale przede wszystkim domy, miejskie, wielomieszaniowe, i domy wsi, przedmieść, małych miast, zastosowane do tła, otoczenia i życiowych potrzeb mieszkańców — co za pole pracy i skala najrozmaitszych ciekawych możliwości dla kobiety, dla której zawsze tak ważne jest mieszkanie, jego strona estetyczna i użytkowa!

To też z wielkim zainteresowaniem śledziłam od dłuższego czasu wszelkie wiadomości o studjach studentek na architekturze i o kobietach - budowniczych.

Ale architektki to milczący naród: dużo rysują, mało mówią; można byłoby przypuszczać, że kobiety nie zaznaczyły się niczem w budownictwie, tak o tem cicho, gdyby nie sucha wzmianka od czasu do czasu: taki konkurs, taka nagroda i przy niej kobiece nazwisko.

Aż teraz szczęśliwy traf przyniósł nam do redakcji jedną młodą architektkę, p. Jadwigę Dobrzyńską.

No, będzie można dowiedzieć się czegoś konkretnego, co i jak robi pani-architekt, a to tem ciekawsze, że właśnie ta odniosła świeży sukces, już europejski. Rektorat Królewskiego uniwersytetu w Zagrzebiu ogłosił konkurs międzynarodowy na projekt dwóch szpitali: klinicznego i fundacji na tysiąc chorych. Jury składało się z ekspertów z Francji, Niemiec, Szwajcarii i Jugosławji; nadesłano 80 prac; drugą nagrodę otrzymał projekt inżynierów Jadwigi Dobrzyńskiej i Zygmunta Łobody; sędziowie podkreślili wysokie zalety tego projektu. „Wybaduję” więc sumiennie panią inżyniera Dobrzyńską o jej prace.

I przyznam się szczerze, że zdumiona jestem, ile można zrobić w stosunkowo niedługim czasie!

Bo sukces jugosłowiański jest *trzydziestą czwartą* nagrodą młodej architektki w ciągu dziewięciu lat. Pani Dobrzyńska otrzymała dyplom inżyniera-archi-

tekta w r. 1922 i w tym samym roku uzyskała trzecią nagrodę w konkursie koła architektów na ogrody do zabaw i sportu, wspólnie z inż. Sienickim.

W dwa lata później otrzymuje pełne prawo prowadzenia robót, stając się już architektem, nie tylko rysownikiem, lecz budującym.

Od tego czasu zaczyna się lista nagród i prac, doprawdy imponująca.

A więc: Plan regulacji miasta Radomia, gmach państwowej szkoły rzemiosł w Poznaniu, szpital w Bydgoszczy, zakład wychowawczy Ligi Opieki nad zaniedbanymi dziećmi, Wojewódzkie zakłady techniczne w Katowicach, gmach Kasy Chorych w Radomsku, sanatorium w Istebnej — pierwsze nagrody; gmach szkoły głównej gospodarstwa wiejskiego (S. G. G. W.) w Warszawie, kościół opatrności w Białymstoku, gmachy: Ministerstwa Robót Publicznych i Banku Gospodarstwa Krajowego, Centralny Instytut Wychowania Fizycznego na Bielanach — drugie nagrody; Muzeum Narodowe — jedna z ośmiu nagród równorzędnych; gmach Szkoły Nauk Politycznych w Warszawie, Dom ludowy w Łodzi, Państw. Szkoła Rzemiosł w Warszawie — trzecie nagrody; gmach Kasy Chorych w Krakowie, sanatorium Czerwonego Krzyża w Łodzi, sanatorium Kasy Chorych we Lwowie — projekty zakupione. Ale to tylko największe, najbardziej reprezentacyjne budowle. Jest jeszcze cała serja pierwszych i drugich nagród za gmachy szkół powszechnych, seminarjów, stadionów sportowych. Za tem idą budowle już wykonane i prowadzone obecnie: szkoły Techniczne w Katowicach, sanatorium w Istebnej, Kasa Chorych w Koninie, spółdzielnia mieszkaniowa dyrekcji monopolu spirytusowego.

Projekty opracowywane wspólnie z inżynierem Zygmuntem Łobodą.

Niektóre z tych gmachów to prawdziwe olbrzymy, jak budowane obecnie przez Śląski Urząd Wojewódzki Zakłady w Katowicach, ta nowoczesna politechnika robotnicza, obejmująca siedm wydziałów: kolejowy, budowlany, chemiczny, elektrotechniczny, hutniczy, ceramiczny i mechaniczny, mieszczące się w stu pięćdziesięciu salach!



Inżynier Jadroiga Dobrzyńska.

Na wystawie poznańskiej przyznano pani Dobrzyńskiej medal brązowy za prace architektoniczne!

— No, to ładny kawałek Polski pani zaprojektuje! Jakże to można było zdążyć?

— Jakoś się robi — odpowiada p. Dobrzyńska. — Zresztą nie pracuję sama: większość projektów opracowywałam wspólnie z inżynierem Łobodą.

— To jest obecnie z mężem? A więc nietylko osobista, ale architektoniczna zgoda?

— Eh, czasem klócimy się zawzięcie! Ale wkoń-

cu projekt jest; mamy nawet taki zabobon, że nie będzie dobrego projektu bez sprzeczek!

Państwo Łobodowie wspólnie też prowadzą prace budowlane i kierują założonym przez siebie biurem. Każde pod swoim nazwiskiem.

Laik, zwłaszcza trochę uprzedzony, mógłby łatwo pomyśleć: cóż wielkiego, to pewno mąż wszystko robi.

Otóż trzeba wyjaśnić, że architekci przeważnie projekty na konkursy opracowują wspólnie, czasem po trzech i czterech, i wszyscy wiedzą, że równy jest podział pracy i zasługi, bez względu na płeć i charakter współpracowników. Jeżeli chodzi o panią Dobrzyńską specjalnie, to architektoniczny vox populi mówi jeszcze, że jest to chodząca encyklopedia swego zawodu, znająca wyjątkowo dokładnie jego bogatą literaturę, wszystkie dzieła i czasopisma. Człowiek żelaznej pracy, której głównie zawdzięcza swoje powodzenie.

Wypytyuję jeszcze, jakie są obecnie widoki pracy w architekturze.

— Naturalnie, wobec kryzysu i zmniejszonego ruchu budowlanego, w tym roku gorsze; w zeszłych latach było nieraz tak, że sypiało się po 3 — 4 godziny na dobę i wogóle żyć nie było czasu!

— Więc przy dobrej konjunkturze, kobiety mogą liczyć na pracę i powodzenie?

— Bezwarunkowo! Te koleżanki, które pracują obecnie, a jest ich dwadzieścia kilka, zdobyły sobie ogólne uznanie.

— Tak, tylko ten ogół zamało wie o ich pracach.

— Kiedy to — odpowiada pani Dobrzyńska — i nie miło tak głosić o sobie i doprawdy: niema czasu.

Pomimo wielkiej sympatii dla mojej interlokutorki i wszystkich kobiet-budowniczych, życzę im w duchu, aby, poza chwilką dla poinformowania nas o swych pracach, miały zawsze mało czasu. N. J.

Z BELETRYSTYKI FRANCUSKIEJ OSTATNIEJ DOBY

Wśród nowości beletrystycznych francuskich ostatniego sezonu wydawniczego zwraca na siebie uwagę kilka książek, które wyszły z pod piór kobiecych, lub też zostały nagrodzone przez jury kobiece. Prawdziwą sensacją paryską było wystąpienie w charakterze pisarki znanej artystki dramatycznej pani Simone (Casimir-Périer), która odniosła odrazu wielki sukces autorski, zdobywając go brawurową szarżą swojej niezwyklej powieści: „le Désordre“.

Nielad ten, a raczej zamęt, wywołuje w duszy młodej, niewinnej dziewczyny miłość, która się tam wdziera gwałtem, zupełnie bezsensownie. Emma Collinet jest poważna, nieśmiała, oddana pracy nauki i przygotowaniu do egzaminów. Po śmierci drogiego jej ojca, matka jej, kobieta pospolita i żadna użycia, trzyma ją zdaleka od domu. W domu tym, w Arcachon, roi się od dwuznacznych figur, świetnie scharakteryzowanych przez autorkę. Obok starzejącej się pani Collinet, jej wieloletni, wzgardzony już dzisiaj, niedołęzniejący, zazdrosny kocha-

nek Fitz-Gérard; nowy faworyt, piękny tancerz Paz; zakochana w nim bałwochwalczo maniukurzystka Carmen: cały ten realistycznie ujęty, robiący jednak kosztmarne jakieś wrażenie, mały światek razi Emmę swoją brutalnością i wulgarnością.

W drodze do Algieru, dokąd Emma jedzie sprzedać otrzymany w spadku majątek, poznaje niebardzo już młodego, dobrodusznego awanturnika, który budzi w niej wielką, tkliwą, gwałtowną pierwszą miłość. Guérin jednak nie odwzajemnia się jej, traktuje ją szorstko, potem znika, zostawiając Emmę zrozpaczoną, żadną miłości, zaniepokojoną i oderwaną od pracy. Po różnych przejściach, po paroksyzmach tęsknoty, Emma wraca do ciasnych, pewnych ram swego dawnego, szarego życia i, będąc na grobie ojca, układa tam bardzo starannie przyniesione przez siebie kwiaty, symbolizując w ten sposób dążność do wprowadzenia ładu w swoją przyszłość.

Powieść pani Simone odznacza się zaletami kom-

pozycyjnymi i formalnymi, powściągliwością opisów, trafnością i żywością charakterystyk. Autorka umie narzucić czytelnikowi zainteresowanie swoją niepozorną bohaterką i jej udrękami. Krytyka przyjęła tę książkę z najwyższym uznaniem.

Drugą wybitną nowością beletrystyczną jest: „Cécile de la Folie“, za którą autor jej, Marc Chadourne, otrzymał nagrodę pisma kobiecego „Femina—Vie heureuse“. Jakkolwiek napisana przez mężczyznę, książka ta daje bardzo głębokie ujęcie postaci kobiety współczesnej (która jest także kobietą wieczną, kobietą prawdziwą), żyjącej na wyżynach ducha, rozdającej najbliższym z wielkopańską hojnością swoje zarobki, swój czas, całe swoje życie. Duma nie pozwala jej upominać się o swoje prawa wobec narzeczonego, który nie może się zdecydować na małżeństwo z ubogą, nieefektowną panną. Odnajduje ją tylko zawsze i wyzyskuje w ciężkich dla siebie chwilach (wojna, utrata kochanki, brak pieniędzy). Ale ciężar pracy nad siłą, bohaterstwo wiecznego uśmiechu, okrucieństwo życia, które wszystko zabiera Cecylji, nic jej nie dając wzamian, doprowadza ją wreszcie do szukania ucieczki w nurtach Sekwany.

Autor, skupiając światło na głównej bohaterce—genjuszu serca — postawił też doskonale postać jej niezdecydowanego partnera i pozwolił nam zajrzeć w jego życie wewnętrzne, wypełnione troską o karierę, snobizmem i śmieszniemi, krótkotrwałymi „tęsknotami do ideału“, które się w nim odzywają jedynie pod wpływem Cecylji.

„Cécile de la Folie“ stanie się niewątpliwie książką, drogą kobietom, ceniącym piękno moralne i mającym kult wartości nieprzemijających.

Bardzo miłą, pełną fantazji i polotu powieść: „Piège“ dała pani Germaine Beaumont, laureatka nagrody dziennikarskiej (prix Théophraste Renaudot). Jest w tej powieści tajemniczy zamek, gdzie znajdują schronienie kobiety, skrzywdzone przez miłość; ale i tutaj nie zdobywają one upragnionego spokoju. Główna bohaterka, zerwawszy z kochanym przez siebie człowiekiem, szuka śmierci w szalonej jeździe samochodem; ulega wypadkowi, znajduje opiekę w owym zamku i zakochuje się w pięknym jego właścicielu, który, mimo całej przyjaźni dla niej, nie podziela jej gorących uczuć, gdyż sam jest... kobietą.

Ta nikła, trochę sensacyjna treść utworu rzucana jest na bogate tło opisów przyrody nadmorskiej i ozdobiona niespodziewanemi, błyskotliwymi zwrotami stylowymi. Czyta się ją z prawdziwym zainteresowaniem, które wywołują przeżycia bohaterki, drugorzędne postacie utworu, pełne wdzięku i oryginalności indywidualne cechy pisarskie autorki. Jest to swego rodzaju „roman d'aventures“ w dobrym stylu, zapowiedź rzeczy bardziej zdecydowanych mocniejszych w wyrazie, na które zapewne się zdobędzie autorka przesłicznych, sławnych już dzisiaj ma-

łych fantazji: „Disques“, świeżo wydanych w formacie książkowym.

Denise Fontaine zadebiutowała w świecie literackim powieścią „Geneviève Savigné“, której bohaterka jest tak przesycona egotyzmem i tak silnie odczuwa potrzebę samotności, że wyrzeka się nawet miłości, zostawszy już mężatką. „Wszelkiego rodzaju życie niezależne, wystrzelające w górę, jak łądoga roślinna, musi wyczuć miłość, jako pewien ucisk. Miłość jest to u istoty silnej pierwszy objaw zniszczenia i śmierci“.

To też Geneviève Savigné, która, nawet jako narzeczona i żona, nigdy nie przestawała się zamykać w swoim osamotnieniu, nigdy nie umiała przeciężyć swojej obojętności dla najbliższego otoczenia rodzinnego, własnego i mężowskiego — wytęża całą siłę woli, całą inteligencję, by nic nie dać z siebie innym; by nie utracić ani odrobiny własnej swobody na czyjąś korzyść. Rozchodzi się więc z mężem, odpycha tego, którego nad męża przełożyła, by żyć w samotności, stać się celem samej dla siebie.

Wzgardliwej względem społeczeństwa ludzkiego postawie bohaterki autorka przeciwstawia postawę jej ciotki, kobiety o wysokich zaletach umysłu i charakteru. Pani Andréa ma o swoich obowiązkach społecznych i towarzyskich tak wysokie wyobrażenie, że w imię ich walczy bohatersko z ogarniającym ją obłędem, opanowując — do pewnego czasu — nadludzkimi wysiłkami woli katastrofę swego rozbitcia życiowego.

Uderzającą stroną powieści stanowi jej wprost matematycznie ścisła budowa, ogromna oszczędność środków, pewna surowość samej postaci głównej i jej dziwne, jakby nieludzkie odcięcie od świata, brak współdrżania z którymkolwiek z jego elementów. Ale z tej właśnie ścisłości, z tej surowości emanuje pewnego rodzaju poezja o rzeźwiącym, gorzkim posmaku nietscheańskim.

W czasach powojennych rozpowszechnił się we Francji rzadki przedtem zwyczaj, że wielkie gazety i czasopisma wysyłają dziennikarzy do różnych obcych krajów, gdzie zachodzą ciekawe zmiany i przewroty polityczne. Z tych reportaży powstało już dużo cennych, zajmujących książek. Pośród autorów takich sprawozdań wyróżnia się bystra, inteligentna, odważna dziennikarka Andrée Viollis, która w ciągu ostatnich lat kilku pisała kolejno o Irlandji, Afganistanie, Rosji. Wydana przed paru miesiącami jej książka: „L'Inde contre les Anglais“, opowiadająca o ruchu niepodległościowym w Indjach, posiada obok rzeczowości i jasności wybitne zalety artystyczne: suggestywność obrazów, dar chwytania nastrojów masowych, umiejętność ujmowania szczegółów charakterystycznych środowiska i krajobrazu, oraz wycucie atmosfery, w której dojrzewają wielkie wypadki.

Dlatego też książkę tę możemy śmiało umieścić na swojej półce bibliotecznej obok utworów z zakresu literatury pięknej.

Stanisława Jarocińska-Malinowska.





Ś. P. DR. EUGENJA LEWICKA

Są ludzie, których śmierć wydaje się czemś prosto nielogicznym, pomyłką, z którą absolutnie nie można się pogodzić. Nie można sobie wyobrazić, że zniknęło w ciemności to, co było stworzone do światła. Taką właśnie tragiczną pomyłką wydaje się wszystkim, co znali ś. p. dr. Eugenję Lewicką, jej niespodziewana śmierć.

Była ona dzieckiem słońca, z niego czerpała siłę i hart. Miała słońce w sobie, promieniowało z jej oczu i uśmiechu; każdy, kto z nią rozmawiał, odczuwał wrażenie tego idącego od niej światła. A pod całym tym urokiem i wdziękiem, hart i niespożyta energia. Doprawdy, taką energję ma słońce.

Iluż ludzi przyciągała ta jej słoneczna siła! Ona, jej opieką, jej metoda leczenia słońcem, ruchem i powietrzem, to był magnes, który ściągał co roku setki osób do Druskienik.

Miała niesłychanie ujmujący sposób traktowania pacjentów: każdy czuł się specjalnie pod jej opieką. Ci, co mieli sposobność zetknąć się z nią bliżej, czuli ponadto tę promieniującą od niej siłę. Wszystko zawsze przezwyciężyć, nigdy nie okazać zmęczenia, od nikogo nie żądać pomocy, nie pozwolić sobie na słowo zniechęcenia lub skargi, to była tajemnica podziwu, jaki budziła wśród otoczenia.

Miała lat 35. Zdołała zdobyć wiele miłości i uznania, własną drogą w pracy naukowej, stanowisko, które otwierało przed nią nowe horyzonty i możliwości.

Zapłaciła jednak zdrowiem. Organizm, wyczerpany męczącą pracą umysłową, nie oparł się dawce zwykłego środka nasennego. Mimo starań kolegów-lekarzy, nie obudziła się już do swej ukochanej pracy w słońcu.

Śmierć przerwała jej pracę nad badaniem zdrowotnego wpływu słońca, ruchu i powietrza na organizm ludzki, pracę, do której od kilku lat zbierała materiały w Druskienikach, gdzie pod jej kierunkiem i według jej wskazówek zostały zorganizowane kąpiele powietrzno-słoneczne.

Opierając się na jej doświadczeniach, cały szereg uzdrowisk naszych rozpoczął stosować te metody leczenia u siebie.

Zajmując stanowisko sekretarki Rady Naukowej Wych. Fizycznego, ś. p. dr. Lewicka dążyła do tego, aby wychowawcze znaczenie sportu oprzeć na mocnej podstawie naukowych badań i doświadczeń.

To miała być synteza jej spostrzeżeń i prac. Tu miały

być użytkowane jej doświadczenia Druskienickie i badania pracowni Rady Naukowej, którą organizowała. Śmierć zagaręła ją w chwili, gdy niemal jednego ruchu tylko brakowało, aby ogniwa usilnie prowadzonej pracy spoić w całość.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY.

„Lazurowe wybrzeże“ — komedia w 3 aktach A. Birabeau i J. Dolleya. Przekład Bolesława Gorkyńskiego. Reżyserja Chaberskiego. Dekoracje Drabika.

Teatr Narodowy stopniowo staje się sceną rozrywkowo-obrotową. Chodzi, rzecz prosta, o obrót pieniężny. Gościnne występy znakomitych artystów, rekordy wytrzymałości w rodzaju „Raz, dwa, trzy!“, nawet efekty cyrkowo-ekwilibrystyczne — oto szereg próbnych wierceń, które mają otworzyć podziemne nurty złota.

Tym razem pokazano nam przemiłą bujdzę, w dodatku bujdzę „na resorach“, bo cały drugi akt odbywa się w wagonie restauracyjnym „błękitnego ekspresu“. Całość jeży się komicznymi nieprawdopodobieństwami, na których z hukiem pękają baloniki humoru, wypełnione gazem rozweselającym. Jest to humor typowo-francuski: groteskowy i finezyjny zarazem, cyniczny i sentymentalny. Pokazuje rzeczywistości język, jak poliszynel, a upaja i oszalamia, jak szampan.

Magja tego czarującego głupstewka polega na zespoleniu dwóch, pozornie sprzecznych, żywiołów teatralnych: irracjonalizmu sytuacji z prawdą uczucia. Bezczelność sytuacyjna, żonglerka efektami, szarlataństwo wypadku rzuca „Lazurowe wybrzeże“ na mieliznę farsy; koncepcja miłości daje złudzenie komedji bohaterkiej. Jakby kto „Romantycznych“ Rostanda przeschepił na grunt stosunków biurowych wielkiej firmy nowoczesnej. Business panuje w niej wszechwładnie, dopóki go nie depce Amor.

„Lazurowe wybrzeże“ — to nie tylko zręczny trick, misterna siatka intrygi o stu oczkach: to śliczna bajka o urzeczywistnionych marzeniach biednej telefonistki, to hymn na cześć zwycięskiej miłości — hymn, wyśpiewany wprawdzie na saksofonie przy hałaśliwym akompanjamencie jazzbandu, ale wnoszący ze sobą powiew rzeczy nieprawdopodobnych, wyjątkowych, w które, znudzony szablonem, człowiek współczesny tak bardzo chce wierzyć.

I uwierzył, dzięki nieporównanej grze dwojga mistrzów: Junoszy-Stepowskiego i Ćwiklińskiej.

Stepowski dał postać żywą, doskonale utrzymaną w twardej zarysach bryły, którą piorun miłości przemienia w wulkan.

Rola Ćwiklińskiej jest nowym etapem jej artystycznego rozwoju. Dotychczas świetna w odtwarzaniu typów „hic mulier“, tutaj umiała zdobyć się na szczerą romantyzm, na marzylińską rozlewność i mglistość, na przekonywujący patos tęsknoty za miłością. Scena, w której zimny i opryskliwy businessman nie może znaleźć słów na wyrażenie swego uczucia wobec kobiety uwielbianej, a ona mu to uczucie formułuje, posługując się intuicyjnie przeżyciami własnej wyobraźni, ta wąska platforma, na której spotykają się dwa światy: świat bezradnego czynu i wszechmocnego marzenia — to naprawdę małe arcydzieło dialogu sentymentalnego.

Reszta wykonawców, z przemiłą Gellą i zabawnym Frenklem-synem, tworzyła doskonale tło dla romantycznej wyprawy na „jasny brzeg“. Halska ujawniła charakterystyczne zacięcie w roli kanciastej i głupkowatej Iwonki.

S. P. O.

TEATR LETNI.

„Hiszpańska mucha“ — krotkowiła w 3 aktach F. Arnolda i E. Bacha. Reżyserja J. Janusza.

W każdej szanującej się wiejskiej śpizarni wisi zwykle taka stara, sucha, trochę zapleśniała kiełbasa (pod nieurzędową

rubryką „można dać komu“), którą się napoczyna wtedy, kiedy już nic lepszego niema pod ręką. I okazuje się wówczas, że stara kielbasa, chociaż traci myszką, ma smak niegorszy od świeżych, na chybeika przyprawianych wędlin.

Takim teatralnym zapasem głodowym jest „Hiszpańska mucha“. Ukazanie się jej świadczy zawsze o pustce repertuarowej szpizarni. Tym razem, z wielką dla niej szkodą, starano się ją uwspółcześnić. O ileż jej komizm zyskałby na bezpośredniości, gdyby go pogłębiono perspektywą trzydziestu lat wstecz! Sytuacje „Hiszpańskiej muchy“ na terenie dzisiejszego życia są nie do strawienia. Zrosły się organicznie z kostjumem pewnej epoki, jak np. „Grube ryby“, albo „Dom otwarty“.

Słyszałam na premierze rozmowę dwóch poważnych i bynajmniej niezacofanych krytyków, którzy zachwycali się techniczną robotą tej farsy. Rzeczywiście, mechanizm jej, oparty na nieporozumieniu, jest bez zarzutu. Kręci się wkołko, jak perpetuum mobile. Efekty zużyte, ale niezawodne. Typy szablonowe, które dobry aktor ożywia własną indywidualnością. Tak zrobili Orwid i Kurnakowicz: dali nam tego samego Orwida i Kurnakowicza, którzy nałogowo budzą śmiech na sali.

Pozostali aktorzy nie wiele mieli do roboty. Grała za nich krotoczwila. S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

WDOWA PO PREZYDENCIE WILSONIE GOŚCIEM WARSZAWY.

W ubiegłym tygodniu przybyła do Warszawy pani Wilsonowa, w drodze na uroczystości odsłonięcia pomnika jej męża w Poznaniu. Na dworcu powitali ją ambasador amerykański p. Willys i przedstawiciele władz polskich. Pani Wilson zamieszkała na Zamku, jako gość Pana Prezydenta. Na drugi dzień po przybyciu, pani Wilson, wraz z towarzyszącą jej siostrzenicą i szefem protokołu dyplomatycznego p. Przeździeckim, zwiedzała miasto, oraz Wilanów i Natolin, gdzie odbyło się przyjęcie u pani Heleny Potockiej. W tym dniu pani Wilson złożyła też wizytę władzom miejskim, które ofiarowały jej album Warszawy, i przyjęła delegację Syndykatu dziennikarzy.



Pani Wilson na dworcu.



Czy dobry materiał?

PANI MINISTER JAKO EKSPERTKA.

Tytuł ministra pracy pojmuje Miss Bondfield, jak poważnie każda kobieta, *sumiennie*, starając się zgłębić wszystkie zasady pracy, aby resortem swoim kierować nie tylko z punktu widzenia polityki administracyjnej, lecz zasadniczej. Pisaliśmy niedawno, jak załatwiła sprawę służby domowej. Obecnie Miss Bondfield dokonała otwarcia wystawy mody krajowej dla rodzin angielskich. Jest to dalszy ciąg wielkiej akcji, zmierzającej do bezwzględnego użytkowania przemysłu angielskiego wewnątrz kraju. Pani Bondfield zwiedziła następnie wystawę, zapoznając się szczegółowo, nie tylko z zewnętrzną stroną ekspozycji, lecz z ich gatunkiem.

Rycina nasza przedstawia moment sprawdzania przez ministra jakości materiału, z którego wykonano model.

PIĘCDZIESIĘCIOLECIE PRACY PEDAGOGICZNEJ.

W tych dniach odbył się jubileusz pięćdziesięciolecia pracy pedagogicznej p. Zofji Kudasiewicz-Kołtoniakowej.

Jubilatka należy do zastępu tych zasłużonych, choć cichych działaczy społecznych, którzy codzienną, ciężką, poważnie niewdzięczną pracą przyczynili się do przechowania w duszach dzieci polskich czci dla przeszłości narodowej i rozbudzili chęć dążenia od lepszego jutra.

Mając zaledwie lat 16, p. Zofja Kudasiewicz-Kołtoniakowa, po złożeniu egzaminu nauczycielskiego, poświęca się z zapalem pracy pedagogicznej.

Pracuje najpierw, jako nauczycielka w szkołach średnich warszawskich. Wreszcie 1899 roku wprowadza w czyn najgorętsze marzenie i otwiera czteroklasowy zakład naukowy na Placu Aleksandra nr. 8.

W roku 1904-ym przenosi szkołę na ul. Koszykową 11b, gdzie po strajkach szkolnych 1905 otwiera klasę piątą, szóstą

i siódmą. W 1924-ym roku otwiera klasę ósmą według programu szkół średnich typu matematyczno-przyrodniczego.

Setki dziewcząt z różnych środowisk, opuściwszy Jej szkołę, rozproszyły się po świecie, przechowując na dnie duszy Jej cenne zasady uczciwości, prawości, godności osobistej i poczucie obowiązku.

PROJEKT POLSKIEJ DELEGATKI W GENEWIE.

Jak wiadomo, na tegoroczną Konferencję Pracy w Genewie wniesiono sprawę pewnych zmian w międzynarodowej konwencji pracowniczej. Chodziło między innymi o ochronę pracy kobiet, mianowicie o zastosowanie niektórych ulg w przepisach, zabraniających kobietom tej pracy, np.: ażeby kobiety, dozorcynie i kierowniczkę robót, mogły być zajęte w nocy, oraz aby można było w miejscowościach, gdzie to jest, ze względu na komunikację, dogodniejsze, kończyć zajęcia później i później je rozpoczynać. Chyba łatwo zrozumieć, jak niewygodnie jest dla pracownicy iść do fabryki, np. w miastach, o 5-ej rano, gdy niema komunikacji tramwajowej i że wołałaby wrócić do domu, choćby wieczorem, lecz zato rano wychodzić o godzinę później.

Projekt ten jednak nie uzyskał większości głosów i upadł, po gorącej dyskusji. Delegatka polska, posłanka Waśniewska, podała więc projekt utworzenia przy Międzynarodowym Biurze Pracy specjalnej komisji, której zadaniem byłoby zapoznanie się z różnymi warunkami pracy w różnych krajach i opracowanie ustawy, umożliwiającej lokalne zmiany. Projekt p. Waśniewskiej został jednomyślnie przyjęty.

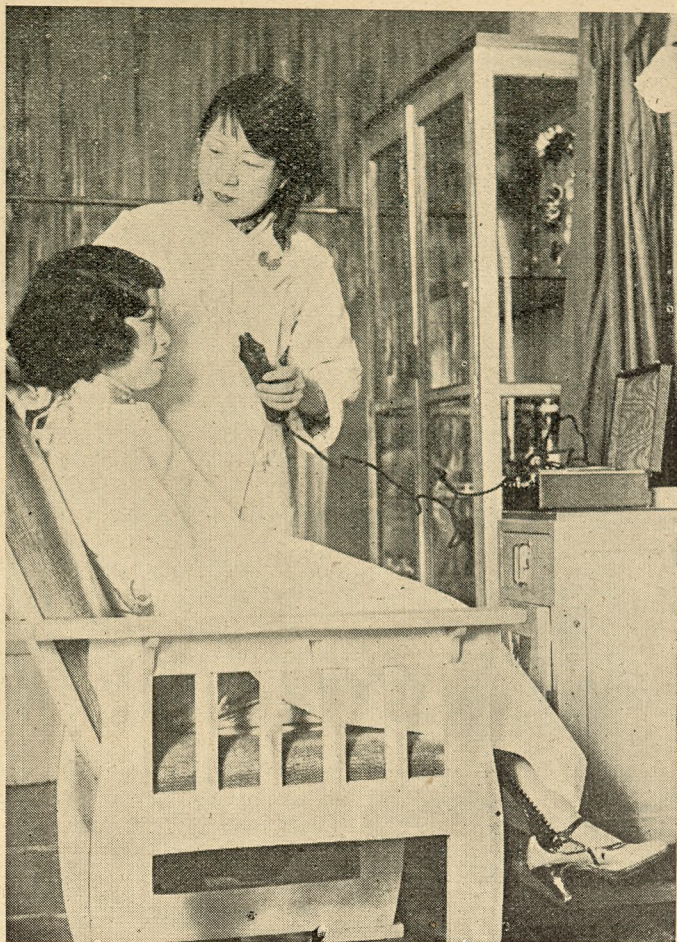
GRZECZNE NIEMOWLĘ.

Pani Marja Denman, młoda, wybitna adwokatka z Westmoreland w Pensylwanji, została szczęśliwą matką pierwszego syna. Fakty takie zdarzają się dość często, ten jednak wywołał specjalną radość w kołach feministycznych. Dlaczego?

Oto pani Denman, obok swego zawodu adwokackiego, jest jeszcze posłanką do parlamentu stanu Pensylwanja. Zdrowie i siły dopisywały jednak młodej matce tak znakomicie, że jeszcze w wigilję urodzenia malca była na posiedzeniu, a powróciła po dwóch tygodniach przerwy; że zaś przez ten czas były ferie, pani posłanka nie opuściła właściwie żadnego posiedzenia.

Pani Denman więc stała się doskonałym przykładem dla propagandy Międzynarodówki „Otwartych Drzwi“, do której zresztą sama należy: najlepszy dowód, że nie potrzeba specjalnych ograniczeń pracy kobiet, mówią zwolenniczki Open Door.

Z tej racji też oboje państwo Denman stali się przedmiotem gorących owacyj. Posłowie wysłali telegram gratulacyjny, do matki, winszując „zdrowia i dzielności“, do ojca z wyrazami uznania za to, że nie zabrania żonie pracować, uważając ją za równouprawnioną, oraz do... syna, że tak punktualnie i bez kłopotu przyszedł na świat! Malcowi ofiarowano jeszcze piękny kubeczek srebrny i takiż serwis do jajek, z napisem: dzielnemu obywatelowi Denman posłowie stanu Pensylwanja.



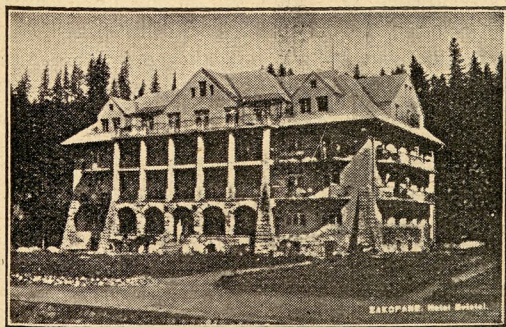
Helen Wang w roli kosmetyczki.

CHINKI CHCĄ BYĆ MODERNE.

Słynna chińska artystka filmowa, Helen Wang, otworzyła w Szanghaju salon piękności. Zabiegi kosmetyczne, prowadzone przez panią Wang, cieszą się wielkim powodzeniem, którego główną tajemnicą jest zapewne sława właścicielki zakładu.

BRYLANTOWE GODY PRACY.

W jednej z przędzalni lankasterskich pracuje 95-letnia Miss Polly Gadsby. Już przed dwudziestu laty firma ofiarowała pannie Gadsby dostatnią emeryturę, gdyż staruszka pozostaje od 9 roku życia w tym samym warsztacie. Ani wtedy jednak, ani nawet w tym roku, w którym upłynęło 85 lat jej pobytu w fabryce, nestorka robotnic angielskich emerytury nie przyjęła. Twierdzi, że czuje się świetnie i że z pewnością umarłaby w parę dni po opuszczeniu fabryki. Dobra to musi być pracownica, ale nie gorsi i pracodawcy.



ZAKOPANE

Perła uzdrowisk polskich—daje emocjonujące widoki Tatr, tężyznę ducha i ciała, spokój, wypoczynek i zdrowie — a więc jedźmy wszyscy do Zakopanego.

BRISTOL

Najtańszy luksusowy reprezentacyjny hotel-pensjonat w Zakopanem — daje wygody ogniska domowego, a w sezonach głównych rozrywki towarzyskie i zabawę. W okresach wiosennym i jesiennym ceny niższe od 30—50%. Tel. 315.

NASZA MÓWNIKA

Kultura ducha (w odpowiedzi Łodziance).

Najważniejszym czynnikiem, jaki jednostka daje z siebie społeczeństwu, jest kultura ducha, rzucająca bezwiednie dalej, niżby się zdawać mogło, swe dobroczynne promienie.

Materjalistyczne prądy mogą chwilowo kulturę ducha przytłumić, nigdy zniszczyć.

Dlatego też nie przypuszczam, aby stosunek czytelnika do literatury był tak rozpaczliwy, jak twierdzi „Łodzianka“.

„Zmaterjalizowałyśmy się ze szczętem“.

„Odzwyczajiliśmy się od kupowania książek“...

Nie wiem również, czy dobrze rozumiem zwrot: „typ naszych zainteresowań w literaturze i nastawień na konkretny ton jeszcze się nie skryształizował“.

Czyż w literaturze, jako sztuce samej w sobie, potrzebny określony, ścisły kierunek?

Zapewne, nasza literatura przedwojenna miała specjalne zabarwienie patriotyczne i socjalne, które dziś w tej formie nie jest aktualne, lecz nie znaczy to, aby nie było co czytać.

Owszem. Nigdy chyba nie było tylu autorów, nietylko w Europie, lecz i na drugiej półkuli, jak w dobie obecnej.

Mamy szereg laureatów Nobla, a więc dzieł o wysokiej wartości literackiej.

Różnorodność w powieściach i pracach literackich u nas i zagranicą jest właśnie czynnikiem pociągającym i żałować można tylko, że czas nie pozwala na przeczytanie wszystkiego, co znalazło się na półkach księgarskich.

Niekoniecznie „mądra“, lecz „dobra“ książka dla ludzi zmęczonych pracą, często samotnych jest najlepszym, nieocenionym przyjacielem.

Książka, czasopisma i radjo dają nam możliwość oderwania się od troski codziennego życia, przeniesienia w świat lepszy ducha. Życie abstrakcją, choćby godzinie dziennie, to wypoczynek dla myśli, możliwość nabrania sił do pracy na jutro.

Pamiętam, lat temu kilka, pani Redaktorka „Bluszczu“ na odczytaniu w Polskim Klubie Artystycznym, podczas namiętnej dyskusji o ideały romantyków powiedziała: „obcowanie z duchami wielkimi będzie dla nas zawsze pożyteczne“.

Słowa te głęboko zapadły mi w duszę i jestem za nie szczerze wdzięczna pani Stefanji Podhorskiej-Okołów.

Do obcowania z duchami lepszymi dążyć powinniśmy; czyż nie należy się doskonalić, iść ciągle wzwyż, aby zostawić po sobie spuściznę duchową i kulturalną przyszłym pokoleniom?

Stolica i większe miasta dają możliwość dokształcenia się, uspołecznienia, zaznajomienia z prądami literackimi i społecznymi przez zrzeczenia, odczyty, organizacje i t. p.

Gorzej jest w małych miasteczkach i na prowincji (na wsi), gdzie oszczędność, spowodowana kryzysem gospodarczym, musi się odbić i na kupnie książek. Dlatego też przykład pań z Krasnegostawu godzien jest naśladowania.

Lecz nie jest to bynajmniej coś nowego.

Już przed wojną w lubelskim były „Latające czytelnice“, do których należało kilka domów; otrzymywano co miesiąc inną serję książek, a w końcu rozlosowywano je.

Różne są sposoby na brak czasu i wprowadzanie oszczędności. Mieszkając w stolicy, należę do Koła samokształcenia (założonego przez jedną z korespondentek „Bluszczu“), gdzie mamy bibliotekę (około 600 książek); jesteśmy zarejestrowane w komisariacie Rządu. Mamy Zarząd, który myśli o wyborze i kupnie książek, urządzeniu dwa razy na miesiąc odczytów, lub pogadanek, o wspólnych wycieczkach i t. p. Mieszkanie nie nas nie kosztuje, bo Stowarzyszenie mieści się u przewodniczącego. Za minimalne składki kupuje się książki. Administracja jest bezpłatna.

Zdawaćby się mogło, że w stolicy takie stowarzyszenie niema racji bytu, jednak dla osób pracy, mających mało pie-

niędzy i czasu, wymiana myśli, poruszanie tematów literackich, czy społecznych rozszerza poglądy, uczy orjentacji, wyrabia własne zdanie na sprawy, nad którymi sami przeszlibyśmy do porządku dziennego.

Stowarzyszenia, choćby najmniejsze, są wszędzie pożyteczne, pogłębiają wiadomości, wyrabiają jednostki.

Takie, jak nasze Stowarzyszenie na prowincji miałyby rację bytu, trzeba tylko trochę dobrych chęci i dużo zdolności organizacyjnych.

Zresztą wszystko to rozstrzyga „kultura ducha“. Jeśli jednostka ją posiada, będzie odczuwała głód duchowy i zawsze znajdzie taki, czy inny sposób i czas na zaspokojenie tego głodu, jeśli nie, przekreśli książkę i pójdzie odpoczywać na dancing.

Urzędniczka — Warszawa.

Na dalszą metę.

Redukcje pensyj urzędniczych stały się prawdziwą katastrofą dla wszystkich kategorii średnich pracowników państwowych. Jeśli, przy pierwszej, 15% obniżce nie wiedziliśmy, jak będzie można wybrnąć, to obecna, dalsza, stawia już nas wobec nierozwiązalnego dylematu.

Prawda, interes państwa musi być suprema lex; niemniej jednak możliwość istnienia, to też prawo niezaprzeczone i domagające się doraźnego rozwiązania.

Tego rozwiązania musimy szukać i znaleźć je, inaczej bowiem życie stanie się niemożliwe.

Czy poza obniżkami pensyj urzędniczych niema innego środka podniesienia wpływów budżetowych?

Ci, którzy znają tajemnice techniczne tego skomplikowanego pojęcia: budżet, wyjaśniają, że jest to jedyny sposób *doraźny*. Inne środki podniesienia wpływów budżetowych, wyzyskania różnych kapitałów i źródeł dochodu, przewyciężenia ogólnego kryzysu, wymagają dłuższego czasu, współpracy i decyzji ustawodawczej. Właśnie do tego pragnę nawiazać to, co przychodzi mi na myśl w tej kwestji. Będą to zapewne pomysły niefachowe, ale wiele razy bywa tak, że w głowie kogoś, nawet nieprzygotowanego fachowo, może zrodzić się pomysł, który inni ludzie, znający się na rzeczy, mogą opracować do wykonania.

A więc: 1) pożyczka wewnętrzna; przecież są w Polsce kapitaliści, którzy wywożą pieniądze do banków zagranicznych (zgroza!) i tam je lokują; trzeba by więc wyzyskać kapitał prywatny do prowadzenia dochodowych przedsiębiorstw państwowych; 2) ściągając zalegające podatki gospodarze; 3) upaństwowić notariaty, które, zdaje mi się, dotąd nie są państwowymi; i jeszcze jedno. Wiem zgóry, że będzie dużo sprzeciwów, ale cóż! wypowiadam tylko swą myśl, może nierealną nawet: oto nie demoralizować bezrobotnych zapomogami, pochłaniającymi olbrzymie sumy, które mogłyby być użyte na uruchomienie fabryk, gdzie robotnik znalazłby zajęcie, niekoniecznie wysoko płatne, ale równające się zapomodze, a produkty, wychodzące z fabryk, musiałyby mieć niskie ceny, by się równoważyły z cenami za produkty rolne i znalazły możliwość zbytu.

Nie jestem fachowcem, mówię o tych sprawach z punktu swego widzenia: może to jest błąd ślepeca, mówiącego o kolorach. Moznaby użyć tych pieniędzy na wykonanie prac budowlanych, czy innych. Mojem zdaniem, dawanie zapomóg demoralizuje w wielkim stopniu robotnika, woli on stać bezczynnie na rynku, niż pójść i zarobić kilka groszy, które i tak przyjdą mu bez trudu; a jak to obciąża budżety państwowe!

Czy nie byłoby dobrze, aby o zrealizowaniu tych projektów, po ich przedyskutowaniu i opracowaniu fachowem, pomyślały te kobiety, które mają wpływ na bieg spraw gospodarczych, działaczki i posłanki?

Lena z Leszna.

RÓŻE I KAKTUSY

— „Więc ta róża, ta biała, już należy do mnie?“ ...

Tak zapytywał niegdyś romantyczny młodzieniec damę, która go kokietowała kwiatem róży i bladym pakiem swej twarzy. Było to w czasach, kiedy kobiety wpinały białą różę w ciemne sploty, a lekko-myślne pozostawienie jej w rękach zalotnika równało się niebezpiecznemu wyznaniu. Więcej, niż zalotność: prowokacja.

Na jubileuszowej wystawie róż w Starej Pomarańczarni róż białych prawie, że nie było. Nie usnęłyby ani jedna pod zaklęciem słów Konopnickiej: „Białe róże, senne róże, dobrej nocy wam“ ... Zato prowokowały zachwyty róże szkarłatne, ciemno-ponsowe, różowe, jak rumieniec, gorejące, jak płomień, szafranowe, jak jutrzienka, koralowe, pomarańczowe, pomidorowe... I kapryśne mięszanki-mulatki, złoto-różowe.

Napróżno szukałam róż czarnych, które sztuka ogrodnicza wyhodowała przed wojną, a moda uznała za demoniczne i perwersyjne. Były to róże bez duszy: nie miały zapachu. Zmiotła je wojna, jak tyle innych kaprysów. Zginęły bezpowrotnie razem z białymi pawiami secesji.

Przed otwarciem wystawy przesłicznie mówił o różach nestor naszych ogrodników, sędziwy i zasłużony Edmund Jankowski. Mówił, jak młody poeta.

„Adwokat i róża“. Któż mógłby głosić sławę róż lepiej od niego, który całe życie sadił, szczepił i zasiliał — na piaskach ogrody, w sercach ludzkich — miłość do drzewa i kwiatu?!

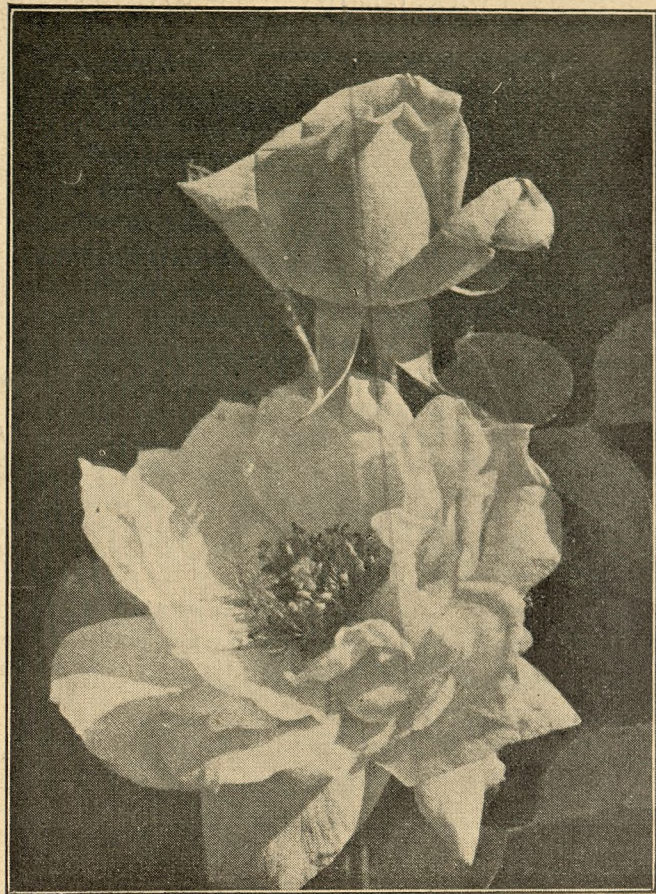
Ogrodnik polski kocha różę, choć nie jest ona u nas autochtonem, jeno przybyszem, ale jakże dawnym, jak bardzo zadomowionym i swojskim!

Azjatka, obłaskawiona w Europie! Wieńce różane, zmieniane na skroniach uczujących rzymian, róże, kapiące z pułapu Heliogabala, odrzuciło chrześcijaństwo, jako symbol zmysłowej rozkoszy. Zaranie wieków średnich mileczy o róży.

Do środkowej Europy krzyżowcy, wracający z Ziemi Świętej, przywieźli różę damasceńską, białoróżową. To ta sama, co stała się ulubienicą klasztornych wirydarzy. Może od niej pochodzą cudowne róże św. Franciszka z Assyżu, róże bez kolców, kwitnące po dziś dzień drobnym białym kwiatem w rosarium bazyliki Najświętszej Panny Marji Anielskiej, obok słynnej „Porcunkuli“. Legenda mówi, że straciły kolce w chwili, gdy Święty rzucił się na nie, aby umarwić swe ciało.

Róża staje się symbolem miłości zarówno miśtycznej, jak ziemskiej. Złotą różę papieże ofiarowują monarchom, słynnym z cnoty, lub szczególnie zasłużonym chrześcijaństwu (Sobieski). „Kawaler srebrnej róży“ — to paż, który niesie ten cenny zadatek miłości narzeczonej od narzeczonego.

W w. XVIII-ym sprowadzono do Europy róże chińskie, zwane u nas herbacianami. Ogrodnicy naszej epoki lubują się w krzyżowaniu tych dwu ras róż



„Białe róże, senne róże, dobrej nocy wam!“.

żanych — róży damasceńskiej i chińskiej, celem wytworzenia mieszańców różowo-złoty, kuszących barwą i aromatem.

Specjalne warunki wystawy uniemożliwiły pokazanie nam róż tak, jak rosną na krzaku. Po kilku ściętych kwiatów jednego gatunku ustawiono w szklanych kielichach na ciemnym tle. Dawalo to efekt bardzo malarski, ale nietrwały. Róże, świeże, jak poranek, pierwszego dnia — na trzeci wyglądały, jak panny po balu, chociaż przypuszczam, że niektóre z nich podstępnie zmieniano.

Były też eksponaty o charakterze dekoracyjnym: pergole i altanki, oplecione różami pnąciami; zastawy stołowe, stylowe i skromne, których jedyną ozdobę stanowiły grupy róż, albo pojedyncze kwiaty, rzucone na obrus.

Łazienki Królewskie wystawiły kompozycje kwiatowe, grzeszące nadmiarem taniego symbolizmu. Kwiaty same przez się są tak piękne, że nie należy ich krzywdzić tyranją „literatury“.

Kontrastowym uzupełnieniem róż były kaktusy, niebezpieczni rywale damasceńskich hurys, chińskich księżniczek i perwersyjnych mulatek. Któż dziś w pokoju hoduje różę, nawet tę pocziwą „różę miesięczną“, którą pielęgnowały z zamiłowaniem nasze prababki? Zato kaktus — szary, szpetny, niewymagający syn pustyni — doskonale godzi się z suchymi liniami nowoczesnego wnętrza i znakomicie się czuje w kontynentalnym klimacie kaloryferów.

Było ich wiele, o najwymyślniejszych kształtach i rozmiarach, począwszy od karłów wielkości napastrka lub igielnika, kończąc na potworkach wzrostu i tuszy dorosłego melona.

Jeden z nich, święty kaktus meksykański, podobny do szaro-niebieskiego pomidora, pozbawiony kolców, zato wypuszczający w górze drobnutkie pędy z małym czerwonym owocem, po zjedzeniu sprawdza podobno czarodziejskie wizje, jak po haszyszu. Szkoda, że na wystawie był tylko jeden i ten nie został zjedzony na miejscu, tylko sprzedany, więc mocy jego nie można było sprawdzić. Reszta kaktusów nie miała nic wspólnego z magją, i też była bardzo droga.

S. P. O.

JAK I NA CZEM OSZCZĘDZAĆ?

Po sprawie odżywiania najważniejsza jest kwestja ubrania, jest to bowiem forma, w której zapisujemy się w oczach i pamięci bliźnich, jest niejako naszym uzewnętrznieniem się.

W budżecie domowym ubranie odgrywa ważną rolę, przeto tak, jak w odżywianiu, należy zwalczać szablony, o których pisałam poprzednio, i w dziedzinie ubierania się.

Przedewszystkiem należy zaznaczyć, jak to już wielokrotnie czyniłam, że ubierać się dobrze — nie znaczy ubierać się drogo, ale też i nie tandetnie. Materiały tanie i liche uważam za możliwe jedynie na jeden sezon, poczem używa się ich na ścierki do kurzu; natomiast suknie zimowe i jesienne należy sprawić w dobrym gatunku, bo takie można wyprać, przerobić, przefarbować i zawsze ładnie wyglądają.

Trzeba tylko pozbyć się pasji ubierania się *pstrokato*. Prawdziwie elegancka kobieta nosi ubranie w tej samej gamie kolorów, jeśli nie stale, to choćby dłuższymi okresami. Wtedy zyskuje to, że wszystkie drobiazgi, jak pantofle, torebki, kapelusze, paski, pasują do kilku sukien, a więc nie jest zmuszona ciągle kłaść „czegoś nowego“. Ubrana zawsze w tym samym kolorze (choćby przez sezon, powtarzam), zarysuje się w pamięci, jako wdzięczna, harmonijna sylweta i... zawsze zyskuje w oczach patrzących.

Jest to więc już, jeśli nie upodobanie (według mnie, bardzo wykwintne), to w każdym razie doskonały... wybieg. Znałam pewną, bardzo zresztą popularną osobistość, która nosiła tylko czarne, aksamitne suknie i kapelusze o wielkiem rondzie; tak została sportretowana przez wielu malarzy i taką zostanie w pamięci wszystkich.

Kiedyś, gdy odwiedziłam tę damę, byłam niepomiernie zdziwiona, zastawszy ją w domu w pięknym różowym negliżu. Gdy jej to powiedziałam, zaśmiała się i dorzuciła: „W domu lubię być ubrana wesoło i jasno; gdy opuszczam dom, zachowuję swój własny... styl.“

Tak, trzeba mieć w ubraniu własny styl. Oczywiście, trzeba mieć też poczucie smaku. Nie uważam, aby smaczne było przystrajanie się w coraz to jakiś nowy, pstry łaszek, niejednokrotnie psujący przyrodzony wdzięk i własności indywidualne, które każdy przecież posiada. W szczególności kobieta. To, co jedną przystroi — inną oszpeci, i odwrotnie.

Cała trudność polega na poznaniu siebie — swoich wad i zalet — i dostosowaniu ubrania do koloru skóry, włosów i sylwety, co da nam zadowolenie z siebie samej, dobre poczucie, które w jednej sukni mamy, a w drugiej — nie.

Każda z nas ma suknie ulubione i znieawidzone, które się marnują, lub zostają wkońcu przerobione, przefarbowane, albo wręcz komuś oddane.

I każda z nas ma manję, o której nie wie, lub do której nie chce się przyznać: każda bez wyjątku kobieta twierdzi, że *nie ma się w co ubrać*. Ta bezsensowna potrzeba przestrajania się dowodzi właśnie braku poczucia harmonji własnej sylwetki i niepokojącą chęć występowania w coraz to nowej postaci, która poniekąd zaspokaja kabotyńskie potrzeby zwracania na siebie uwagi, co, jak powiedziałam wyżej, niezawsze godzi się z dobrym smakiem. Ta więc dziedzin przedewszystkiem nadaje się do zrobienia jaknajdalej idących oszczędności.

Nie będziemy źle ubrane, gdy będziemy miały tylko kilka sukien. Najjaskrawszym przykładem słuszności mego dowodzenia jest fakt, że osoby, będące w żałobie, nie posiadają więcej nad trzy, cztery suknie, w których chodzą cały rok, i oko doskonale się do takiej sylwetki przyzwyczaja. Gdy osoba czarno ubrana zmienia kolor stroju, jesteśmy tem raczej zaskoczeni, bo wyobrażenie danej osoby tak właśnie odbiło się nam na kliszy pamięci.

Porzućmy więc zamiłowanie do przestrajania się *pstrokato*, a wybrawszy sobie jedną jakąś barwę, będziemy zawsze dobrze ubrane.

Takie rozwiązanie zagadnienia ubierania się jest bardzo na dobie w okresie kryzysu, kiedy każda złotówka musi być poważnie obejrzana, zanim zostanie wydana.

Oczywiście, mówiąc o ubieraniu się, mam na myśli cięższe suknie i płaszcze, nie tanie szmateczki z perkalu, któremi odziewamy się w domu lub na wsi, i które szyjemy same. Mogą one być *pstre*, jak czarująca łąka lub ogród, w którym przebywamy.

Mam wrażenie, że każda rozumna kobieta rozpatrzy kwestję ubierania się pod tym właśnie estetycznym i praktycznym kątem.

mar-mor

Hamaki Przybory do rybołówstwa **Leżaki**
Siatki na firanki i kapy

Skład fabryczny:

L. CYBE i S-ka WARSZAWA
Złota 23, — tel. 427-59.

MIOTŁA

Na okładce nowego „Savoir Vivre'u“ Paul Reboux czerwoną miotłą wymiata z obecnego życia dawne obyczaje. W wielu wypadkach moglibyśmy jego reformy zastosować do naszych stosunków, nie zawsze...

Bardzo dobra jest postępową radą, w wielkiej mierze zresztą we Francji praktykowana: przedstawiać osoby z ich tytułem. Nie tylko „pan radca“ (co zresztą byłoby trudno, bo radców tu mało), ale też „inżynier“, „doktor“, a także konieczne: muzyk, malarz, literat. W dżungli paryskiej nazwiska nic nie mówią, nie można, jak w Warszawie, zacząć rozmowy: „Pan z których X?“, a fach człowieka daje temat do konwersacji. O to chodzi, żeby w salonie ludzie mieli temat gotowy — na pierwszy ogień. Dalszy sam się znajdzie.

Dawne kodeksy dobrego tonu zabraniały wprowadzać *dzieci i psów* do gości. Reboux poleca te dwa „divertissements“.

Uklon — srogi wyrok dla dzisiejszego francuza: trzeba — wyraźnie trzeba! — zdejmować kapelusz. Kobięcie kłaniać się, gdy upoważni wzrokiem. Prawie, jak w Anglii. Za czasów Borgiów rękawiczki często były zatrute, stąd powstał zwyczaj zdejmowania ich przy powitaniu; dziś, jeśli się jest sportowcem, też zdjąć je należy ze względu na higienę, ale pan na ulicy może wyciągnąć rękę — w miejskiej rękawiczce.

Le baisemain. W Polsce po wojnie, z niewiadomych bliżej powodów, całuje się w rękę najmłodsze panny; Francja coraz częściej mówi o zupełnym zniesieniu tego obyczaju, który, zawsze na ulicy i w miejscach publicznych nieprzyzwoity, w stosunku do kobiet niezamężnych uważać należy za bezeceństwo! Zamiast się zastanawiać, kiedy i kogo całować — nigdy i nikogo nie całować. A już w żadnym razie nie odchyłać brzegu rękawiczki, aby dotknąć ustami dłoni.

Rozdział, poświęcony *korespondencji*, jest długi, bo sprawa bardzo ważna.

Pisać — wyraźnie, nieczytelność jest niegrzecznością. Ponieważ większość ludzi myśli piętnaście razy prędzej, aniżeli myśli swe ręcznie przelać może na papier, więc daleko lepiej, żeby pisali na maszynie. Oświadczenie to stanowi moment nieomal dziejowy, bo dotąd we Francji (w Ameryce nie!) uważano pisanie na maszynie — w stosunkach prywatnych — za niegrzeczność. Rozgrzeszenie swe Reboux opatruje oświadczeniem, iż mylą się ci, którzy sądzą, że list wystukany traci indywidualność. Pozostaje styl piszącego — to, co najważniejsze.

„Na listy nietylko odpowiadać, ale odpowiadać zaraz“.

Każda, głosząca do Senatu, a choćby i do Sejmu, Polka będzie bardzo się śmiała z tego, że Reboux poraz pierwszy w dziejach Francji pozwala pannie mieć na bilecie wizytowym swój adres. Dotąd wolno to było jedynie damom złego prowadzenia, albo kobietom, zajmującym oficjalne stanowiska, pełniącym funkcje publiczne.

Mężczyzna, idąc ulicą z kobietą, trzymać się wienien jezdni, bez względu na to, czy będzie po jej prawej, czy lewej stronie. *W aucie* ustępuje jej prawą stronę; zresztą, dobrze wychowana kobieta sama tego przestrzega. W *metrze* lub *autobusie* galanterja wymaga wstać, żeby usiadła kobieta, ale czynić to należy z wielką ostrożnością, w obawie złego zrozu-

W KRAJU
I ZAGRANICĄ

nie ma nic lepszego
jak:

Aste
woda kolorirka

Aste
wody kwiataowe



STEMPNIEWICZ
POZNAŃ

mienia tej grzeczności. Ustąpiwszy miejsca, odejść szybko, możliwie najdalej, nie patrząc na damę. Żeby, wysiadłszy na tej samej stacji, nie miała prawa do — upomnienia się o nasze towarzystwo...

Dalej autor przechodzi w krótkości, z punktu widzenia dzisiejszych obyczajów, życie francuza od kolebki do grobu. Cztery są wytyczne punkty w tym długim okresie: 1^o *Chrzest* — raczej nadanie imienia, najlepiej trzech: jedno wybrane przez matkę chrzestną, drugie przez ojca chrzestnego, trzecie przez matkę własną. Z temi imionami idzie do znajomych zawiadomienie o przyjściu na świat dziecka. Jego bilecik różową czy niebieską wstążeczką przytwierdza się do biletu rodziców. Na taki anons należy się ojcu złożyć powinszowanie. 2^o *Małżeństwo* — Dzisiejsze szybkie życie wymaga zastąpienia dawnych narzeżeńskich wizyt telefoniczną rozmową, niepraktyczne kwiaty nakazuje zamienić pozytywnymi na przyszłość darami — np. dyskiem; zaręczynowe pierścienie kupować należy razem — daje to dobrą sposobność do wzajemnego poznania nietylko gustów, ale i charakterów; krewni zaś, którzy zachowali piękny zwyczaj ślubnych prezentów, mogą się poradzić zainteresowanych, czego im sobie najwięcej życzyli: elektrolux, beczkę wina, T. S. F., nocne ślubne pyjamy, wagę dla przyszłego dziecka.

Paul Reboux jest za tem, aby dzień „wiecznego“ połączenia otoczyć tajemniczością — to też radzi przenieść obiad weselny na kilka tygodni po ślubie. Natomiast opowiada się za informacjami u doktora i wyraża nadzieję, że bliski już czas, kiedy ocena lekarska będzie konieczną wymaganą dla prawnego zawarcia małżeństwa.

Pragnie wprowadzić pewną inowację: nie matka winna pouczać córkę o tem, co ją czeka po ślubie, lecz ojciec, i vice versa: matka, na podstawie własnego doświadczenia, doradzi synowi, jak ma się zachować wobec młodej żony, aby jej i sobie zapewnić szczęście...

Rozwód — tradycjami się nie rządzi, jedynie zasadą — byle prędzej!...

Śmierć — Muzułmani pierwsi w Paryżu żałobny wóz zastąpili — autem. Zapewne w myśl poety „Die Todten reiten schnell“... Reboux zdaje się o tym wynalazku nie wiedzieć i ten projekt nowoczesnych pogrzebów podaje, jako własny. Słusznie podnosi, iż należy oszczędzać dodatkowych cierpień — ciepłą —

i jest zdania, by w tej chwili unikać widowiska i zawiadomienia o pogrzebie rozsyłać — po pogrzebie. Nie wiem tylko, czy trafną jest rada, aby korzystać z adresów, które się znajdzie w notatniku zmarłego...

Co zaś do żałoby, to dla mężczyzn ogranicza ją do czarnej opaski (dotąd we Francji obowiązek wdowi nakazywał żonie dwa lata czerni, nawet gdy w ostatnich czasach nie żyła z mężem, zaś mężowi tylko rok!), wyśmiewa dawny kodeks, zakazujący osobom w żałobie brania udziału w normalnym życiu — chodzenia do teatrów, na koncerty — i tłumaczy to wygodą innych, którzy nie chcą truć sobie przyjemności widokiem cudzego smutku, ani komplikować życia — przymusowem wypowiedaniem banalnych kondolencyj.

Pomijamy uwagi dla zaproszonych na obiad, czy mają czy nie mają posyłać kwiaty — dawniej róże były wyrazem zachwytu dla kobiety, dziś są wymianą grzeczności za dobre jedzenie — u nas rzecz nieaktualna; obyczaj ten nie może być stosowany w każdej porze roku ze względu na ceny kwiatów — chybaby je zastąpić cukierkami?

Przepisy dobrego tonu względem lekarzy wszędzie są na miejscu: pamiętajmy, że doktor smutnego faktu naszej choroby nie uważa za rzecz wyjątkową, pamiętajmy nie pytać go o przyczynę naszego stanu zdrowia, lub dlaczego tak, a nie inaczej leczy. We własnym interesie zachowajmy jego autorytet. Natomiast płacimy mu za wizytę. We Francji bowiem honorarja lekarskie reguluje się — gdy doktor przyśle rachunek. Zdumiewający ten zwyczaj, świadczący o obopólnem zaufaniu, tu uważany, jako rzecz naturalna, u nas byłby...

Slużba, przemianowawszy się na „urzędników domowych“, żąda traktowania, jak urzędnicy; w wielu wypadkach lepiej. Prócz popołudnia i wieczoru niedzielnego wychodne mieć musi jeszcze w jakieś popołudnie dnia powszedniego — dla załatwienia spraw osobistych. Niedziela jest dla przyjemności. Reboux mówi, że w niedzielę wieczorem każdy sam sobie powinien zgotować jadło i że to ma nawet znaczenie pedagogiczne: służba widzi, iż bez niej można się obyć.

Nie należy wymagać od szofera zdjęcia czapki, gdy kierownicę trzyma w rękę; wystarczy, aby pochylił głowę; natomiast, gdy otwiera drzwiczki, dobrze jest, aby się uklonił. Te same przepisy obowiązujące będą pilotów, skoro awionetki staną się rzeczą codzienną.

Przestarzałą modą jest pojedynkować się, wydawać bale, na wieczorach muzycznych zmuszać ludzi do słuchania innych produkcji, jak fono, lub T. S. F. Tańczyć zawsze jeszcze można.

Przy grze — nie myśleć o wygranej. Do teatru na czas przychodzić, nie śpieszyć się z wyjściem, aby nie czynić aktorom przykrości. Aktorzy, chcąc tego uniknąć, przenieśli się do kina...

Nie należy palić z początkiem obiadu, bo okazuje się brak znawstwa w potrawach; natomiast w wagonie, nawet w przedziale dla pań, palić wolno, bo wszystkie kobiety dziś palą.

Pożyczyć książkę — to ukraść; pożyczać — to dawać się okradać.

Im dalej, tem fantazja powieściopisarza coraz bardziej unosi Reboux. Zamiast zdrowej rady, daje nudne rozstrząsania psychologiczne, tłumaczy, czem jest zazdrość i broni pobłażliwości — małżeńskiej.

Na końcu książki, gdy mówi o wieku, zdrowy sens francuski bierze górę: „Nie bądźcie, jako ci, którzy połowę życia spędzają na pragnieniu, a drugą na żałowaniu“ i dodaje: „Bądźcie zadowoleni z waszego

wzrostu, wieku, losu. Nie skarżmy się. To nic nie pomoże. Nie starajmy się rozumieć — wszystko zrozumieć. Gdy zbyt się wyciska pomarańczę, staje się ona gorzką“.

To wszystko, co powiedział, wymiata inną miotłą: *pierszą regułą savoir-vivre'u jest umieć obyć się bez reguł.*

Zygmunt Przerębski.

ATOMY WIEDZY OGRODNICZEJ

Lampronia rubiella Bjerck. W plantacjach malin zauważyć można maleńką, bo tylko 6 mm. długości przy 12 mm. rozpięciu skrzydeł, ćmę, lekko przenoszącą się z krzaka na krzak. Górne jej skrzydełka są ciemno-brunatne w złoto-żółte centki i plamki, dolne — jasno-brązowe, gładkie. Siada ona przeważnie na kwiatach, w które składa mikroskopijnej wielkości jajeczka, około 80-ciu sztuk naraz. Po tygodniu wylęgają się z nich maleńkie liszeczki, przenoszą się wgląd kwiatu, aż do jego nasady, i tam pozostają do czasu wytworzenia się i dojrzewania owocu. Nie należy ich jednak identyfikować ze znacznie większemi gąsienicami chrząszcza *Byturus tomentosus* F., które żyją w samym owocu.



Lampronia rubiella.

Co się dzieje następnie z maleńkimi gąsieniczkami? Co do tego, zdania są podzielone: angielscy ogrodnicy twierdzą, że rozchodzą się one po całym krzaku, korzystając z każdej szczeliny i załamania gałązki, aby się tam skryć i czekać spokojnie do następnej wiosny. Niemieccy badacze utrzymują, że gąsieniczki po wyjściu ze swego poprzedniego schronienia opuszczają się na ziemię i wkręcają się w młode korzonki, lub młode pędy malin.

Czy w ten, czy w inny sposób przezimowane gąsienice rozpoczynają swe dzieło niszczycielskie dopiero na wiosnę roku następnego. Idą one po łodygach pod górę, aż do pąków, które niszczą; pozostałe zaś, które już zdążyły się w młode pędy przekształcić, bywają również zaatakowane, tylko w dowolnym odmiennym sposobie. Maleńkie, szkarłatne, z ciemnym łebkiem (przez zimę zmieniają ubarwienie) gąsieniczki nacierają sam czubek młodego pędu, niszcząc jego wegetację, poczem wkręcają się wewnątrz łodygi. Tu dopiero omotują się oprzędem lekko ceglastym, z którego po upływie 3 — 4 tygodni wyfruwa młoda ćma.

Z powyżej opisaną ćmą usilnie walczą Anglicy, gdyż w Anglii jest ona bardzo rozpowszechniona i potrafi zniszczyć nieraz duże plantacje zarówno malin, jak i agrestu. U nas nie występuje jeszcze z taką siłą,

jednak również się spotyka. Walka z nią nie jest trudna: przede wszystkim trzeba wyciąć u nasady starsze, nadwiędłe łodygi i spalić je, a ziemię wokół całego krzaka zimą głęboko przekopać. W początkach i w połowie marca (a więc dwa razy) wszystkie pędy nad ziemią otoczyć zwykłym, lepkiem pierścieniem oraz jakies 4 — 5 razy, w odstępach 8-10 dniowych, spryskiwać krzaki arsenem ołowiu.

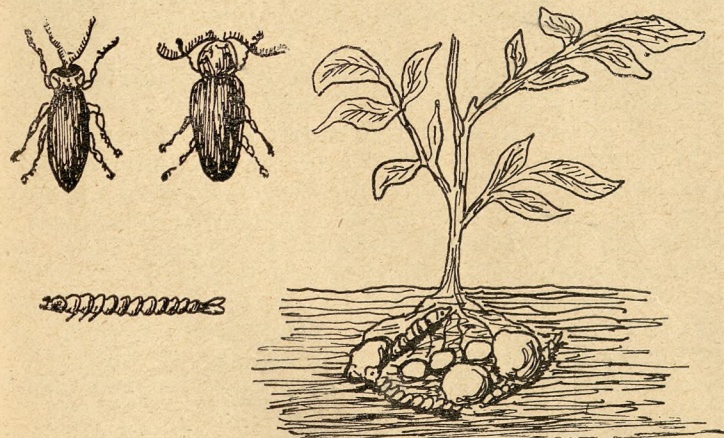
Drutowce. Ciepłe, krótkotrwałe zimy, szczególnie na ziemiach próchnicowych, o małej zawartości składników mineralnych, sprzyjają pomysłnemu rozwojowi szkodników ziemnych, znanych pod ogólną, utartą nazwą drutowców. Są to gąsienice różnych chrząszczów, przechodzących swoje przeobrażenie w ziemi i, rzecz naturalna, żywiących się tem, co na swej drodze napotkają. Szczególnie silnie występują one w miejscach, gdzie często jedną i tę samą roślinę sieje się, czy sadzi, jak np. sałatę, inspekty i ziemie, bezpośrednio do nich przylegające) lub kartofle.

Najgorsze z nich są jednak gąsienice brunatnego chrząszcza (*Lacon murinus* i *Agriotes lineatus* L.), gdyż zupełnie nie przebierają w pokarmie, jedzą wszystko i w dużych ilościach. Największe szkody wyrządzają w inspektach i na polu, obsadzonem kartoflami. Gdy zauważymy więdnące rośliny (zdaje się — bez przyczyny), napewno została ona zaatakowana przez drutowce; często nawet, raptownie z ziemi wyciągnięta, ukazuje nam pomiędzy korzeniami kilka tych szkodników.

Walka z nimi jest trudna i niema środka uniwersalnego, któryby niszczył wszystkie rodzaje drutowców. Pismo niemieckie: „Der prakt. Ratgeber im Obst- und Gartenbau“ — podaje sposoby następujące. Bardzo dobrym środkiem, ale opłacającym się jedynie w kosztowniejszych plantacjach, jest węglan siarki. Ponieważ zniszczyć on może nie tylko szkodników, ale i samą roślinę, musi być bardzo umiejętnie stosowany i zawsze na czystą ziemię, t. j. jeszcze przed flancowaniem. Na jeden metr kwadratowy liczy się 15 — 20 gr. węglanu siarki. Kolečkiem, wielkości palca, robi się w pewnym odstępnie dziurki, zapełnia je płynem powyższym i zpowrotem zasypuje. Trucizna rozejdzie się pod powierzchnią sama, zabijając wszelkie żyjące stworzonka.

Godnym polecenia środkiem jest też zmiana nawozu: jeżeli ziemia często zasilana była obornikiem, trzeba przejść na nawozy sztuczne z dużą dozą potasu, którego drutowce nie znoszą.

Bardzo prostym i napewno nieszkodliwym środkiem jest wylapywanie drutowców przy pomocy kartofla. W tym celu, jak to widać na załączonym



Drutowce.



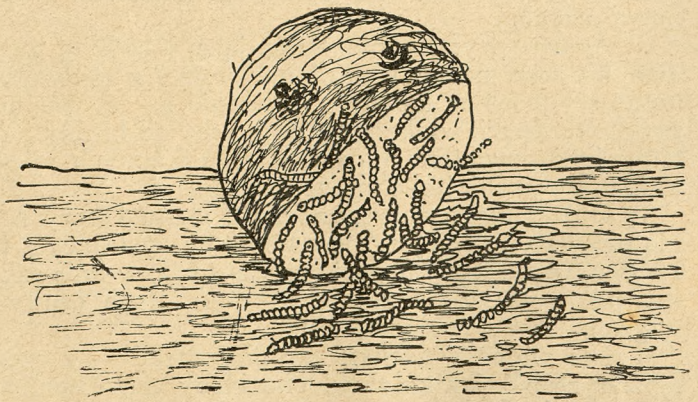
SA ZGUBA TWOJEJ URODY
UWOLNIJ SIĘ OD NICH TEJ WIOSNY I LATA
TAK ŁATWO TO UCZYNIĆ ZA POMOCĄ KREMU
DR. ORGLEJA
JEST ON NIEZRÓWNANY. ZA POMOCĄ TEGO
SŁAWNEGO KREMU PIEGI NAPEWNO ZNIKNAJĄ
A JEDNOCZEŚNIE SKÓRA NABIERZE ŚNIEŻNEJ
BIAŁOŚCI I MIĘKKOŚCI.

ZAPĄC WSZEDZIE

Cena Zł. 5.50. Gdzie niema, wysyłamy za pobr. pocztą
Parfumerie D'ORIENT Warszawa.

rysunku, przekrawa się kartofel na pół i kładzie przekrojoną stroną na ziemię; jeżeli drutowce w danym miejscu się znajdują, napewno porzucą korzonki słabych roślinek i przeniosą się na wielki dla nich przysmak — kartofel. Podniósłszy go do góry, z łatwością zgarniemy dużą ilość szkodników, którymi wielką radość sprawić możemy kurom.

Skutecznie też niszczy wszelkie tego rodzaju rozbactwo kret, tylko że i on sam, o ile zjawi się w licznej towarzystwie, szkodnikiem stać się może. Zabijając go jednak nigdy nie należy: wystarczy włożyć do nory gałgan, polany naftą, albo parę grudek karbidu, a wyniesie się daleko. Nie trzeba zapominać o tem, że kret nie zjawia się nigdy w miejscach, gdzie niema dla niego pożywienia, sama więc jego obecność po-



Sposób wylapywania drutowców zapomocą kartofla.

winna nam być wskaźnikiem, że roślinom naszym grozi niebezpieczeństwo z wewnątrz ziemi.

Podobno dobrym środkiem jest też podlewanie ziemi pod roślinami 2 proc. rozcynem karbolineum, który swym przenikliwym zapachem wyplasa wszystko żyjące, a w tak rozcieńczonym stanie jest nieszkodliwy dla roślin, o ile nie dotknie liści, czy łodygi.

A. D.

SPALARNIA ŚMIECI

Wszelkie odpadki, pozostałe od sprzątanania i od gotowania, wszelkie tak zwane śmiecie są utrapieniem nietylko poszczególnych gospodarstw domowych, lecz i dużych gospodarstw, zarządów, magistratów miast małych.

W poszczególnych gospodarstwach udało się, dzięki różnym celowym wynalazkom Koła Studjów Gospodarstwa Domowego, zmniejszyć znacznie przykrości, związane z powstawaniem i przechowywaniem śmieci.

Kłapa kuchennego stołu z otworem, obita blachą cynkową, pozwala czyścić drób i jarzyny bez zabrudzenia stołu i wyrzucania rękami pierza, wnętrzości i odpadków. Automatycznie zamykający się, hermetyczny kubełek zapobiega konieczności oddychania w kuchni wyziewami rozkładających się odpadków. Śmieciarka na długim kiju pozwala nie schylać się do ziemi przy zmiataniu i t. p. W nowych domach urządzono nawet specjalne otwory-ryny, pozwalające wyrzucać śmiecie wprost do znajdujących się w piwnicach rezerwuarów, skąd je wywożą dalej. Oszczędziło to wyrzucania śmieci i popiołu kubelkami — pracy niemilej, a przy mieszkaniu na wyższych piętrach, nawet uciążliwej.

Tyle — o gospodarce śmieciowej w mieszkaniach i domach.

Ale co ma dalej robić z nimi miasto?

Oczywiście, musi je wywieźć; lecz co do użyteczności tych olbrzymich ilości odpadków zdania są podzielone.

Ogrodnicy podmiejscy, zabierający śmiecie z domów, układają je w duże stosy, gdzie te odpadki gniją i przerabiają się na czysty kompost — idealny nawóz dla ogrodów.

Zanim jednak dojdą do tego stanu, produkty rozkładu wydają woń wprost nieznośną. Aromat ten zna każdy, kto przejeżdżał koło podmiejskich ogrodów warzywnych. Są to wyziewy nietylko przykre dla powonienia, lecz i kryjące wiele zarazków chorobotwórczych.

A owo prymitywne, urągające wszelkim zasadom higieny, nocne wywożenie śmieci z podwórek, wynoszenie ich w koszach, składanie na niczem nieprzykryte furki, wlokące się od bramy do bramy i zatruwające powietrze ulicy i niżej położonych mieszkań, we wcześniejszych godzinach nocy!

Otóż takiego anty-sanitarnego stanu rzeczy bronią nietylko podmiejscy ogrodnicy, korzystający z taniego nawozu, lecz i uczeni profesorowie, w imię szkody, jakaby wynikała ze zmarnowania tych cennych w gospodarstwie rolnem, odpadków.

Nie wolno właściwie nie marnować — z czego można zrobić jakikolwiek, chociażby najskromniejszy użytek. Godziłam się więc z okropnymi zapachami, spotykając nocą wozy, wywożące śmiecie; stara-

łam się zatykać nos chusteczką, przejeżdżając koło ogrodów podmiejskich, i — zawsze mi żal było dzieci, mieszkających w sąsiedztwie tych ogrodów.

I oto w czasie ostatniej mojej bytności w Poznaniu dane mi było obejrzeć wzorową spalarnię śmieci.

Sporo wycieczkowiczek jechało wygodnym autobusem miejskim. Po drodze oglądałyśmy tonące w różach domki osiedla oficerskiego. Przyjeżdżamy. Gmach duży, dosyć ponury, i potężny zapach śmieci. Właśnie traktor, który przywiózł je z miasta, wyładowuje dwa kryte wozy.

Wchodzimy do budynku. Naprzód na najwyższe piętro. Winda-szczypce chwytą z dołu ogromne narecza śmieci i wyrzuca je rzadką warstwą na szeroki pas, wolno się poruszający. Silne magnesy wyciągają z nich wszelkie kawałki żelastwa, rękami się wybiera szkło, drobne kawałki metali, a nadewszystko węgiel. Węgla tego zimą wybiera się tygodniowo około tonny i to wcale nie drobnych kawałków, co daje świadectwo marnotrawstwu i niedbalstwu służby domowej. Węgłem tym opala się warsztat reparacyjny. Stosy szkła zabiera huta szklana i przetapia je nanowo. Żelastwo oraz inne metale zostają też odpowiednio spieniężone.

Najgorzej jest z naczyniem emaljowanym. Ta nieznośna emalja, która tak łatwo pęka, kiedy nie potrzeba, z trudnością daje się odłączyć od żelaza, kiedy właśnie jest potrzeba. Dopiero teraz spowodowano jakąś mądrą maszynę, która tę emalję będzie kruszyła.

Tymczasem całe góry tych naczyń piętrzą się z jednej strony spalarni. Prawdziwe ementalarsko.

Żałowałam, że niema tu tych licznych pań, które tak trudno przekonać, że w gospodarstwie najdrożej wypada kupowanie tanich wyrobów: na setki, ba! może na tysiące garnków, czajników, kubelków niebieskich, białych i zielonych, dojrzeć można jeden garnczek ciemno-wiśniowy z marmurkowatym wnętrzem. Byłaby świetna lekcja pogładowa.

Dalej oglądamy najciekawszą część tego olbrzymiego zakładu. Ogromne, wiecznieplonące piece spalają śmiecie bez żadnego innego środka opałowego. Ogień nigdy nie wygasa, gdyż wciąż jest podsycany automatycznie podawanymi porcjami paliwa — śmieci. Masa ciepła, zwilżonego odpowiednio, już jako para wprawia w ruch ogromną turbinę na wyższym piętrze, turbina porusza dynamo, dynamo wytwarza energję elektryczną, energja elektryczna porusza wszystkie maszyny. Istne samowystarczalne „perpetuum mobile“. Energji elektrycznej produkuje się tak wiele, że dwie trzecie ustępuje się miejskiej elektrowni.

A produkty spalania?

Żużel, pozostały ze śmieci, zmielony i zmieszany z cementem i wodą, formuje się na miejscu w śliczne, stalowego koloru płyty — na chodniki i budynki ogniotrwałe. Właśnie z takich płyt zbudowany jest na dziedzińcu warsztat reparacyjny.

I gdzie tu może być mowa o marnowaniu śmieci? Zrobiono z nich tylko inny użytek, znaleziono inne zastosowanie i skoncentrowano okropne ich zapachy do jednego dziedzińca spalarni (z miasta się je dostawia w szczelnie zakrytych wozach, które, poważnie postukując, wiezie duży traktor).

Ogrodnicy będą musieli się obejrzeć za większą ilością nawozu bydłowego, mniej zatruwającego powietrze, i za nawozami sztucznymi, tak obficie wyrabianymi przez Chorzów i Mościce.

Pani Elżbieta.



OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

(NA 5 OSÓB)

Kartoflanka ietnia.

Biteczki w śmietanie — sałata zielona.

Pierogi z wisien.

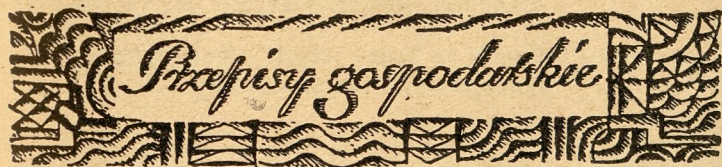
Kilka młodych marchewek, garstkę zielonego groszku, nieco przerośnięty kalafjor, lub kawałek wczesnej kapusty, nastawić z sześcioma szklankami wody. Osolić, dodać listek i kilka ziarn pieprzu. Gdy jarzynki nawpół ugotowane, pokrajać je w kostkę, dodać pół kilo kartofli młodych, pokrajanych w talarki. Gdy kartofle zmiękną, wlać do wazy, gdzie przygotowaliśmy łyżkę dobrego masła i garstkę zielonego koperku.

Pół kilo mięsa przepuścić dwa razy przez maszynkę wraz z dziesięcioma deka młodej słoniny i dwiema bułeczkami (10 deka), wymoczonymi w wodzie i dobrze odcisniętymi. Wbić jedno duże, lub dwa małe jaja, dodać sporą cebulę drobno usiekaną i przesmażoną w maśle, garstkę koperku, soli do smaku, odrobinę pieprzu. Wyrobić masę doskonale. Robić z niej kulki rozmiaru średniego włoskiego orzecha, spłaszczyć je nieco i zrumienić dobrze w łyżce szmalcu lub masła. Łyżkę mąki zasmażyć na biało z łyżką masła, rozprowadzić dwiema szklankami wody z kostką buljonową, osolić, dodać półkwaterek kwaśnej śmietany, raz zagotować. Włożyć do tego sosu zrumienione bitki, dusić wolno pod pokrywą minut dziesięć. Podawać w tem samym naczyniu.

Dwa pęczki sałaty, oplókanie i osączone w serwecie, podzielić na listki. Przed samem wydaniem osolić, odrobinę pocukrzyć, zalać łyżką oliwy i drugą octu, wymieszać i natychmiast podawać, aby nie sflaczała.

Pół kilo wisien kwaśnych wydrylować. Zagnieść ciasto, jak na kluseczki krajane, biorąc czterdzieści deka mąki, jedno jajko, łyżeczkę od kawy soli i tyle wody, aby ciasto dało się wałkować. Pestki z wisien zagotować z półtora szklanką wody, płyn ten odcedzony zmieszać z sokiem, pozostałym po wiśniach, dodać odrobinę soli cytrynowej (kwasku), zagotować z pół filiżanką cukru, zaprawić łyżką mąki kartoflanej, rozbitej w paru łyżkach wody, jeszcze raz zagotować. Brać po trzy wiśnie, formować pierożki. Ugotować je w lekko osolonym wrzątku. Odcedzić. Podawać zimne, czy gorące. Do nich cukier i sosik z pestek. Kogo stać na to, może do nich podać sosjerkę gęstej śmietany.

Pani Elżbieta.



ŁATWA ZUPA Z TAPJOKI.

Zagotować półtora litra wody. Wsypać w nią pięć stołowych łyżek tapjoki, zagotować, miesząc; odstawić na bżeg blachy, lub zmniejszyć do minimum płomień gazowy, aby tapjoka wolno wybrzękła. Osolić. Tymczasem w wazie rozbić półkwaterek dobrej śmietanki, dwa żółtka i pięć deka śmietankowego masła. Gdy tapjoka będzie przezroczysta, wlać kilka łyżek do wazy, wymieszać, dopiero wtedy wlać resztę zupy. Ostrożność tę należy zachować, aby żółtka się nie zwarzyły. Łatwa, smaczna i pożywna zupa dla zwolenników jarskiej kuchni.

cukier krzepi ludzi

Marmelady, konfitury, dżemy, soki, kompoty — to podstawa oszczędności gospodarstwa domowego.

SEZON W PEŁNI!

Tanie książki z przepisami w każdej księgarni.



konserwuje owoce

KLUSECZKI KARTOFLANE WŁOSKIE.

Kilo kartofli ugotować w łupinkach, obrać, póki gorące, przetrzeć przez sito, lub przez specjalną maszynkę. Dodać dwie spore łyżki mąki, pięć deka tartego, ostrego sera, trzy jaja całe, trochę soli. Wyrobić masę doskonale. Robić z niej cienkie (na palec) wałeczki. Krajać na dwucentymetrowe kawałki. Wrzucić na osolony wrzątek. Gotować pięć minut od chwili zagotowania. Wyjmować durszlakową łyżką na salaterkę. Posypać obficie ostrym tartym serem, polać lekko zrumienionem masłem i podawać bardzo gorące. Jeśli nie możemy podać zaraz, wsunąć do pieca: stygnąc, smak traci.

BARANINA W POTRAWCE.

Kilo baraniny od górk, mostka lub łopatki podzielić na osiem do dziesięciu kawałków. Kawałki te zrumienić ze wszystkich stron w maśle. Przełożyć do rondelka, posypać niedużą łyżką mąki, zalać litrem wody. Gotować wolno, miesząc, zanim się poraz pierwszy zagotuje, aby mąka do dna nie przystała. Włożyć cebulę, kawałek pietruszki, listek, kilka ziarn pieprzu. Gdy się dobrze pogotuje, dodać kilka rzepek, pokrajanych w kostkę, kilkanaście małych cebulek, zrumienionych w całości w łyżeczce masła, i z dziesięć małych młodych kartofelków. Dusić wolno, aż jarzyny zmiękną, co trwa około pół godziny. Przed włożeniem jarzyn osolić potrawę, można też dodać do niej trochę pieprzu, lub łagodnej papryki. Przed podaniem wyjąć pietruszkę i dużą cebulę. Mięso ułożyć na półmisku i przybrać jarzynami. Sosu zostanie niezbyt dużo — polać nim mięso i jarzyny.

Willa „Maciejka“**w Orłowie
nad morzem****Pensjonat wykwintny i niedrogi, śliczne po-
łożenie, pierwszorzędna kuchnia.**Wiadomość: Orłowo, p. Kolibki. Willa „Ma-
ciejka“ — N. Czerwińska.**PIECZEŃ WOŁOWA ZE SMAKIEM ZWIERZYNY.**

Naszpikować gęsto słoniną ładny, gruby kawał wołowi-
ny (wagi około półtora kilo). Kto znosi zapach czosnku, może
wsunąć go parę ząbków. Zalać dwiema szklankami białego wi-
na (może być owocowe), paru łyżkami octu z pieprzem w ziarnach,
zielem, listkiem, plasterkami cebuli. Trzymać w tej marynacie
dwa dni, przewracając co najmniej dwa razy na dzień. Zrumienić
mięso na maśle lub smalcu. Zamiast wody, podlewać marynatą.
Dusić wolniutko nie mniej od dwóch godzin. Po wyjęciu mięso
pokrajać i podać z buraczkami lub czerwoną kapustą. Sos
przefasować przez sito, dodać łyżkę śmietany, zagotować raz
i podać w sosjerce.

KREM CYTRYNOWY.

Dziesięć deka cukru w kostkach obetrzeć o skórkę dwóch
dużych, lub trzech mniejszych cytryn. Sok z tych cytryn wy-
cisnąć, dodać do niego półtorej szklanki wody. Zagotować tę wo-
dę z sokiem cytrynowym i cukrem otartym o skórki. Ubić cztery
jaja całe, zmięszać z częścią tego syropu, potem z całością,
postawić na blasze i ubijać mocno, aż masa zacznie gęstnieć.
Napelnąć nią filiżanki od kawy i wynieść na chłód. Gdy dobrze
zastygnie, ubrać po wierzchu konfiturami (najlepiej galaretką
porzeczkową). Podawać z biszkoptami lub wafelkami.

KREM Z MELONA.

Trzy ćwierci kilo dojrzałego i bardzo aromatycznego me-
lona obrać ze skórki, drobno pokrajać i poddusić prędko w ron-
delku pod pokrywą. Gdyby był twardy, przetrzeć przez sito,
zwykle jednak przy takim duszeniu rozgotuje się na gładką
masę. Cztery białka ubić na sztywną pianę, trzymając garnek
z białkami nad drugim garnkiem z wrzącą wodą. Gdy białka
się ubiją i zaczną gęstnieć, dodać piętnaście deka cukru i razem
ubijać. Gdy dobrze zgęstnieje, zdjąć z pary i już na stole ubi-
jać dalej, dodając melon, sok z cytryny, nieduży kieliszek ru-
mu i na koniec sześć do dziesięciu listków żelatyny, rozmoczo-
nej w pierw w zimnej wodzie i następnie rozpuszczonej w dwóch
łyżkach wody gorącej. Przełożyć do formy wylanej wodą i wy-
sypanej cukrem. Wynieść na trzy (co najmniej) godziny na lód.

Podając, wyłożyć na półmiskę i podać z lekkimi biszkopika-
mi lub makaronikami.

BRZOSKWINIE PŁONĄCE.

Brzoskwinie wrzucać po jednej do wrzącej wody i na-
tychmiast obierać ze skórki kościanym lub srebrnym nożykiem.
Pestki wybrać, połówki brzoskwiń ułożyć w kompotjerze, da-
jąc pomiędzy nimi dla zapachu kilka rozbitych i wyjętych
z łupin ziarenek. Posypać grubo cukrem-pudrem. Przed samem
podaniem polać paru łyżkami rumu, zapalić i płonące podać na
stół.

SOK POZIOMKOWY.

Dwa kilo cukru zagotować z trzema szklankami wody.
Dwa litry dojrzałych poziomek leśnych wrzucić do wrzącego sy-
ropu. Odstawić natychmiast. Pozostawić tak na trzy godziny.
Przedcedzić sok przez gęste, włosiane sito, wlać napowrót do
miedniczki, wsypać łyżeczkę od kawy soli cytrynowej (kwa-
sku) i smażyć jeszcze piętnaście minut. Zdjąć z ognia. Ostudzić
i przelać do suchych, czystych butelek. Zakorkować i zalać pa-
rafiną. Pozostałe poziomki utrzeć dokładnie wałkiem. Zmieszać
z litrem zielonego agrestu, przepuszczonego przez maszynkę.
Dodać jeszcze kilo cukru i bardzo wolno, często mierzając od
dna, wysmażyć na marmeladę. Będzie ona miała miły zapach
poziomek, a dzięki dodanemu agrestowi, ładnie się zetnie i bę-
dzie trwała.

Pani Elżbieta.

NOWOŚĆ!**Bardzo cenna dla pań
gospodyń
doskonała książka**

p. t.

**CO MOŻNA ZROBIĆ
Z MLEKA****zawierająca wszelkie wskazów-
ki, dotyczące przerobu i poda-
wania mleka i wszelkich jego
przetworów.****Cena 1 zł. 50 gr.
Z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.****Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“.
Warszawa, Plac Zamkowy 9.****WARUNKI PRENUMERATY**

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-73.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.